This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

PISMA
H. SIENKIEWICZA

8342

PISMA

HENRYKA SIENKIEWICZA.

Pisma

HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XX

WYROK ZEUSA.
Z WRAŻEŃ WŁOSKICH.
ORGANISTA Z PONIKŁY.
U ŹRÓDŁA.
LUX IN TENEBRIS LUCET.
BĄDŹ BŁOGOSŁAWIONA!
PÓJDŹMY ZA NIM!
LISTY O ZOLI.

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

1894

Pisma

HENRYKA SIENKIEWICZA

WYROK ZEUSA. — Z WRAŻEŃ WŁOSKICH.
ORGANISTA Z PONIKŁY. — U ŹRÓDŁA.
LUX IN TENEBRIS LUCET. — BĄDŹ BŁOGOSŁAWIONA!
PÓJDŹMY ZA NIM! — LISTY O ZOLI.

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

1894

PG7158
S4
1883
v.20

Дозволено Цензурою.
Варшава, 27 Іюля 1893 г.

Druk Rubieszewskiego i Wrotnowskiego, Nowy-Świat 34.

WYROK ZEUSA.

BAJKA GRECKA.

Raz, wieczorem, spotkali się na skałach Pnyksu Apollo i Hermes, i stanąwszy na krawędzi wiszaru, spoglądali na Ateny.

Wieczór był cudny; słońce przetoczyło się już z Archipelagu ku morzu Jońskiemu i zanurzało zwolna swą promienną głowę w turkusową, gładką roztocz. Ale szczyty Hymetu i Penteliku świeciły jeszcze, jakby oblane stopionem złotem, i prócz tego, na niebie była zorza wieczorna. W blaskach jej tonął cały Akropol. Białe marmury Propyleów, Partenonu i Erechtejonu wydawały się różowe i tak lekkie, jakby kamień stracił wszelką wagę, lub jakby były sennem zjawiskiem. Ostrze włóczni olbrzymiej Ateny Promachos płonęło w zorzy, niby zapalona nad Attyką pochodnia.

Na niebie ważyło się na rozpostartych skrzydłach kilka jastrzębi, które leciały na nocleg do gniazd ukrytych w skałach.

Ludzie wracali gromadami z robót polnych do miasta. Drogą od Pireu szły muły i osły, dźwigając zawieszone po bokach kosze, pełne oliwek lub złocistego winogradu; za nimi, w czerwonych obłokach kurzu, ciągnęły stada kóz krętorogich—przed każdem stadem kozieł białobrody, po bokach psy czujne, z tyłu pasterz, grający na multankach lub cienkiem źdźble owsianem.

Między stadami posuwały się zwolna wozy, wiozące boski jęczmień, ciągnione przez woły leniwe; tu i owdzie mijały się oddziały hoplitów, przybranych w miedź, dążących na nocną straż do Pireu lub Aten.

W dole miasto wrzało jeszcze życiem. U wielkiej fontanny, w pobliżu Poikile leżącej, młode dziewczęta, przybrane w białe szaty, czerpały wodę, śpiewając, chychocąc głośno, lub broniąc się chłopcom, którzy zarzucali na nie pęta, plecione z bluszczów i winokrzewu. Inne, naczerpawszy już wody, z amforami, wspartemi na ramieniu, i ręką, wzniesioną do góry, szły do domów, lekkie i wdzięczne, do nimf nieśmiertelnych podobne.

Łagodny wietrzyk, z równiny attyckiej wiejący,

donosił do uszu dwóch bogów odgłosy śmiechu, śpiewów i pocałunków.

„W dal godzący" Apollo, dla którego oczu nie było nic pod niebem milszego nad niewiastę, zwrócił się do Argoburcy i rzekł:

— O synu Mai, jakże piękne są Atenki!

— I cnotliwe, mój Promienisty — odpowiedział Hermes, — bo pod opieką Pallady zostają.

Srebrnołuki bóg umilkł i patrzał a słuchał dalej. Tymczasem zorze zwolna gasły, ruch stopniowo ustawał; niewolnicy scytyjscy zamknęli bramy, i wreszcie uczyniło się cicho. Noc ambrozyjska rzuciła ciemną, nabijaną gwiazdami zasłonę na Akropol, miasto i okolicę.

Lecz mrok nie trwał długo. Wkrótce z Archipelagu wynurzyła się blada Selene i poczęła żeglować, jak srebrna łódź, po niebieskiem przestworzu. I znów rozświeciły się marmury na Akropolu, tylko świeciły teraz jasnozielonem światłem i były jeszcze do sennego zjawiska podobniejsze.

— Trzeba przyznać — rzekł „W dal godzący" — że Atene cudną sobie obrała siedzibę.

— Ha! mądra ona! Któż mógł lepiej od niej wybrać? — odpowiedział Hermes. — Przytem Zeus ma

dziwną do niej słabość. Byle go tylko, prosząc o coś, pogłaskała po brodzie, zaraz nazwie ją swą Tritonegeją, córeczką kochaną, wszystko przyrzeknie i na wszystko skinieniem głowy pozwoli.

— Tritogeneja nudzi mnie czasem! — mruknął syn Latony.

— Zauważyłem to i ja, że ona staje się teraz nudna! — odpowiedział Hermes.

— Jak stary perypatetyk. A przytem i cnotliwa do obrzydliwości, zupełnie, jak moja siostra, Artemis.

— Albo, jak jej własne służki, Atenki.

Promienisty zwrócił się ku Argoburcy:

— Drugi raz już wspominasz, jakby umyślnie, o cnocie Atenek. Czy one naprawdę są takie niezłomne?

— Bajecznie, o synu Latony!

— Proszę! — rzekł Apollo. — A czy sądzisz, że jest w tem mieście choć jedna kobieta, któraby się oparła mnie?

— Myślę, że tak!

— Mnie, Apollinowi?

— Tobie, mój Promienisty!

— Mnie, który ją opętam poezyą, oczaruję pieśnią i muzyką?

— Tobie, mój Promienisty!

— Gdybyś był uczciwym bogiem, gotówbym pójść o zakład. Ale ty, Argoburco, jeśli przegrasz, ulotnisz się natychmiast razem ze swymi sandałami, z posochem, i tyle cię będę widział!

— Nie. Położę jedną rękę na ziemi, drugą na morzu i przysięgnę na Hades. Takiej przysięgi dotrzymuję nietylko ja, ale nawet członkowie magistratu w Atenach.

— No! to znów przesadzasz. Ale dobrze! Jeżeli przegrasz, musisz mi dostawić na Trinakię stado długorogich wołów, które ukradniesz u kogo ci się podoba, tak, jak w swoim czasie, będąc jeszcze chłopięciem, ukradłeś moje stada na Pieryi.

— Zgoda. A co dostanę, jeśli wygram?

— Wybierz, co chcesz.

— Słuchaj mnie „W dal godzący," będę z tobą szczery, co, jak wiesz, nie często mi się zdarza. Raz posłany przez Zeusa, nie pomnę już w jakiej sprawie, przelatywałem właśnie nad twoją Trinakią i ujrzałem Lampecyę, która wraz z Featuzą strzeże tam stad twoich. Od tej chwili nie mam spokoju. Lampecya nie schodzi mi z oczu, z pamięci, kocham ją i wzdycham do niej dniem i nocą. Jeżeli wygram,

jeżeli znajdzie się w Atenach kobieta tak cnotliwa, że ci się oprze, dasz mi Lampecyę. Niczego więcej nie żądam.

Srebrnołuki począł kiwać głową.

— Że też miłość umie się zagnieździć nawet w sercu patrona kupców. Ale bardzo chętnie. Dam ci Lampecyę, tem bardziej, że ona teraz nie może się pogodzić z Featuzą. Mówiąc nawiasem, obie są zakochane we mnie i dlatego się kłócą.

Radość wielka strzeliła z oczu Argoburcy.

— Więc zakład stoi — rzekł. — Jedno tylko: kobietę, na której chcesz popróbować swojej boskiej mocy, ja ci wybiorę.

— Byle była piękna!

— Będzie godna ciebie.

— Przyznaj się, żeś już jakąś upatrzył.

— Przyznaję.

— Dziewica, mężatka czy wdowa?

— Rozumie się, mężatka. Pannę czy wdowę mógłbyś sobie zjednać obietnicą małżeństwa.

— Jak jej na imię?

— Eryfila. Jest to żona piekarza.

— Piekarza? — spytał, krzywiąc się Promienisty — to mi się mniej podoba.

— Cóż chcesz! ja w tych kołach najczęściej się obracam... Męża Eryfili niema obecnie w domu; pojechał do Megary. Ta piekarzowa jest najpiękniejszą kobietą, jaka kiedykolwiek stąpała po matce ziemi.

— Ciekawym.

— Jeszcze jeden warunek, mój Srebrnołuki. Przyrzecz mi, że użyjesz tylko sposobów godnych ciebie i nie postąpisz w żadnym razie, jakby postąpił taki naprzykład gbur, jak Ares, lub nawet, mówiąc między nami, jak postępuje ojciec nasz wspólny, Chmurozbiórca.

— Za kogo mnie masz! — rzekł Apollo.

— Zatem wszystko umówione i mogę ci pokazać Eryfilę.

Powietrze zniosło zaraz obydwóch bogów z Pnyksu i po chwili zawiśli obaj nad jednym z domów opodal Stoa. Argoburca podniósł potężną dłonią cały wierzch domu, również łatwo, jak gospodyni, gotująca strawę, podnosi pokrywę garnka, i ukazując niewiastę siedzącą w zamkniętym od ulicy miedzianą kratą i wełnianą zasłoną sklepie, rzekł:

— Patrz!

Apollo spojrzał i skamieniał.

Nigdy Attyka, nigdy cała ziemia grecka nie wydała piękniejszego kwiatu nad tę niewiastę. Przy blasku potrójnego kaganka, siedziała pochylona nad stołem i zapisywała coś pilnie na marmurowych tabliczkach. Długie jej spuszczone rzęsy rzucały cień na policzki, chwilami jednak podnosiła głowę i oczy w górę, jakby się namyślając i przypominając sobie co jeszcze ma zapisać, a wówczas widać było jej cudne źrenice, tak błękitne, że przy nich turkusowa toń Archipelagu wydałaby się bladą i spłowiałą. Była to poprostu twarz Kiprydy, biała, jak piana morska, zaróżowiona, jak jutrzenka, o purpurowych jak syryjska purpura ustach i złocistej fali włosów — piękna, najpiękniejsza na ziemi — piękna jak kwiat, jak światło, jak pieśń!

Gdy spuszczała oczy, wydawała się cichą i słodką, gdy je podnosiła w zamyśleniu — natchnioną. Pod Promienistym poczęły drżeć boskie łydki, nagle wsparł głowę na ramieniu Hermesa i szepnął:

— Hermesie, ja ją kocham! Ta albo żadna!

Hermes uśmiechnął się chytrze i byłby zatarł z radości ręce pod fałdami chleny, gdyby nie to, że w prawicy trzymał posoch.

Tymczasem złotowłosa wzięła nową tabliczkę

i poczęła na niej pisać. Rozchyliły się przytem jej boskie usta i zaszemrał jej głos, do głosu formingi podobny:

— ...Członek Areopagu Melanokles za chleb przez dwa miesiące: drachm czterdzieści pięć i cztery obole... napiszmy dla okrągłości drachm czterdzieści sześć... Na Atenę! napiszmy pięćdziesiąt—mąż będzie kontent. Ach ten Melanokles... Gdybyś ty nie mógł przyczepić się do nas o fałszywą wagę, dałabym ja ci kredyt... Ale z tą szarańczą trzeba być dobrze...

Apollo słów nie słuchał, poił się tylko dźwiękiem głosu, urokiem postaci i szeptał:

— Ta albo żadna!

Złotowłosa mówiła, pisząc dalej:

— Alcybiades, za przaśne placki na miodzie z Hymetu dla hetery Chryzalis: min trzy. Ten nigdy nie sprawdza rachunków, przytem poklepał mnie raz na Stoa po łopatce... napiszmy więc: min cztery. Kiedy głupi, niech płaci... Ale też i ta Chryzalis!... Chyba karmi plackami swoje karpie w sadzawce, albo może Alcybiades umyślnie ją tuczy, by ją potem sprzedać kupcom fenickim za kółka z kości słoniowej do uprzęży.

Apollo na słowa nie zważał — poił się tylko głosem i szeptał do Hermesa:

— Ta albo żadna!

Lecz syn Mai nakrył nagle dom, i cudne zjawisko znikło, a Promienistemu zdawało się, że razem z niem nikną gwiazdy, czernieje księżyc i świat cały przesłania się ciemnością krain kimeryjskich.

— Kiedy się zakład ma rozstrzygnąć?—spytał Hermes.

— Dziś, natychmiast!

— Ona pod niebytność męża sypia w sklepie. Możesz tam stanąć na ulicy, przed tą kratą. Jeśli odsunie zasłonę i kratę ci otworzy, ja zakład przegrałem.

— Przegrałeś!—zawołał „W dal godzący."

I nie tak szybko letnia błyskawica przebiega nocą między wschodem a zachodem, jak on pomknął nad słone fale Archipelagu. Tam uprosiwszy Amfitrytę o pustą skorupę żółwia, nawiązał na niej promieni słonecznych i z gotową formingą powrócił do Aten.

W mieście było już zupełnie cicho, światła pogasły, tylko domy i świątynie bielały w blasku księżyca, który wysoko wypłynął na niebo.

Sklep leżał w załamaniu murów, a w nim, za kratą i zasłoną spała prześliczna Eryfila. Promienisty, stanąwszy na ulicy, począł uderzać w struny formingi. Pragnąc obudzić lekko swą ukochaną, zagrał z początku tak cicho, jak cicho wieczorem wiosennym brzęczą roje komarów nad Illisem. Lecz pieśń wzbierała stopniowo, niby górski strumień po boskim deszczu i coraz potężniejsza, słodsza, bardziej upajająca, napełniła całe powietrze, które poczęło drżeć lubieżnie. Tajemniczy ptak Ateny przyleciał cichym lotem od strony Akropolu i siadł na pobliskiej kolumnie nieruchomy.

Wtem nagie ramię, godne Fidyasza lub Praksytela, bielsze od pentelickich marmurów, odsunęło zasłonę... W Promienistym zamarło serce ze wzruszenia.

I rozległ się głos Eryfili:

— Co tam za chłystek włóczy się po nocy i brzdąka! Niedość się człowiek w dzień napracuje, jeszcze mu w nocy spać nie dadzą!

— Eryfilo! Eryfilo!—zawołał Srebrnołuki.

I począł śpiewać:

Z Parnasu wyniosłych szczytów,
Gdz'e w blasku i wśród błękitów

Natchnione muzy koleją
Natchnione pieśni mi pieją:
Ja bóg! ja światłość uczczona,
Spływam!... Ty otwórz ramiona,
A wieczność będzie mi chwilą
Na piersi twej, Eryfilo!...
. . . . . .
. . . . . .

— Na świętą mąkę ofiarną! — zawołała żona piekarza: — ten urwis do mnie śpiewa i mnie tu chce zbałamucić!.. A nie pójdziesszże ty, do domu, utrapieńcze?!

Promienisty, chcąc ją przekonać, że nie jest zwykłym śmiertelnikiem, zaświecił nagle tak, że od jego blasku zajaśniała ziemia i powietrze — lecz Eryfina, widząc to zawołała:

— Schował nicpoń latarkę pod chleną i za jakiegoś boga mi się tu podaje. O, córko możnego Diosa! podatkami umieją nas cisnąć, a niema na to nawet straży scytyjskiej w mieście*), by takich wartogłowów do kozy brała.

Apollo nie dał za wygraną i śpiewał dalej:

*) Do czuwania nad porządkiem i bezpieczeństwem w mieście używani bywali w Atenach niewolnicy scytyjscy.

— Ach, otwórz ramiona białe,
Ja ci wieczystą dam chwałę...
Nad wszystkie w niebie boginie,
Imię twe w świecie zasłynie —
Ja nieśmiertelność dam tobie,
Ja cię tak, piękna, ozdobię
Potęgą boskiego słowa,
Że żadna w Grecyi królowa
Nie będzie tak uwielbiona!

. . . . . .

Ach otwórz, otwórz ramiona!...

. . . . . .

Z błękitów obedrę morze,
Z purpury i złota zorze,
Z skier gwiazdy, a z rosy kwiaty,
I z tej świetlistej tkaniny
Uczynię dla mej jedynej
Tęczowe Kiprydy szaty...

I głos boga poezyi brzmiał tak cudnie, że cud wywołał. Oto wsród ambrozyjskiej nocy zadrgała złocista włócznia w ręku stojącej na Akropolu Ateny, i marmurowa głowa olbrzymiego posągu zwróciła się nieco ku Katapolis, by lepiej słuchać słów pieśni... Słuchały niebo i ziemia; morze przestało szumieć i legło ciche przy brzegach; nawet blada Selene prze-

rwała swą nocną po niebie wędrówkę i stanęła nad Atenami nieruchoma.

A gdy Apollo skończył, wstał lekki wiatr i niósł pieśń przez całą Grecyę, gdziekolwiek zaś zasłyszało choć jeden jej ton dziecko w kolebce, tam z tego dziecka miał wyrosnąć poeta.

Lecz nim jeszcze syn Latony skończył, gniewna Eryfila poczęła krzyczeć głośno:

— Głupiec jakiś! rosą tu będzie kupczył i gwiazdami. Że męża w domu niema, to myślisz, że wszystko ci wolno? Hej! szkoda, że czeladzi nie mam pod ręką, nauczyłabym ja cię rozumu! Ale i tak oduczę cię, mydłku, włóczyć się po nocy z bałabajką!

To rzekłszy, porwała za dzieżę z kwasem rozczynowym, i chlusnąwszy przez kratę, oblała Promienistemu promienistą twarz, promienisty kark, promienistą chlenę i formingę. Jęknął na to Apollo, i zakrywszy swą natchnioną głowę połą mokrej chleny, odszedł we wstydzie i złości.

A czekający na Pnyksie Hermes brał się za boki, stawał na głowie i wywijał z radości posochem.

Gdy jednak strapiony syn Latony zbliżył się ku niemu, chytry opiekun handlarzy udał współczucie i rzekł:

— Przykro mi, żeś przegrał, o, „W dal godzący!"

— Idźże precz, francie! — odrzekł z gniewem Apollo.

— Pójdę, tylko mi oddasz Lampecyę.

— Bogdaj ci Cerber łydki poszarpał. Nie dam Lampecyi i mówię: idź precz! bo ci twój posoch na głowie połamię.

Argoburca wiedział, że gdy Apollo zły, to niema z nim żartów, więc odsunął się przezornie i rzekł:

— Jeśli chcesz mnie oszukać, to bądźże ty nadal Hermesem, a ja zostanę Apollinem. Wiem, że nade mną potęgą górujesz i że skrzywdzić mnie możesz; ale na szczęście, jest ktoś od ciebie mocniejszy, i ten nas rozsądzi. Wzywam cię, Promienisty, na sąd Kronida!... Chodź ze mną!

Zląkł się imienia Kronida Apollo, nie śmiał odmówić, i poszli.

A tymczasem zaczęło świtać. Attyka wychyliła się z cienia. Różnopalca jutrzenka weszła na niebo od strony Archipelagu.

Zeus spędził noc na szczycie Idy — a czy spał, czy nie spał i co tam robił, nikt tego nie wiedział, bo Mgłonośca osłonił się mgłą tak gęstą, że nawet

Hera nic przez nią dostrzedz nie mogła. Hermes drżał trochę, zbliżając się do ojca bogów i ludzi.

— Słuszność po mojej stronie — myślał, — lecz nuż Zeus zbudził się gniewny, nuż, nim wysłucha, porwie każdego za nogę, zakręci nad głową i ciśnie na jakie trzysta staj ateńskich. Jeszcze na Apollina ma on wzgląd jakiś, ale ze mną, choć synem jego jestem, nie będzie robił ceremonii.

Lecz płonna była obawa syna Mai. Kronid siedział na ziemi wesół, bo mu noc zeszła wesoło, i w chwale radosnej ogarniał świecącemi oczyma krąg ziemski. Ziemia, uradowana ciężarem ojca bogów i ludzi, rodziła pod nim jasną majową trawkę i młode hiacynty, a on, wspierając się o nią dłońmi, przebierał palcami w kędzierzawem kwieciu i cieszył się w sercu wyniosłem.

Widząc to, syn Mai ochłonął, i oddawszy pokłon rodzicielowi, śmiało zaczął Promienistego oskarżać—a nie tak gęsto padają płatki śnieżne w czasie zadymki, jak gęsto padały jego słowa wymowne.

Gdy skończył, Zeus milczał przez chwilę, a potem ozwał się do Apollina:

— Prawdaż to wszystko, Promienisty?

— Prawda, ojcze Kronidzie—odrzekł Apollo,—

ale jeśli po hańbie, jaka mnie spotkała, jeszcze mi zakład płacić każesz, tedy zstąpię do Hadu i cieniom będę świecił.

Zeus zamyślił się znowu i rozważał.

— Więc ta kobieta — spytał nakoniec — pozostała głuchą na twoją muzykę, na twoją pieśń i odtrąciła cię ze wzgardą?

— Wylała mi dzieżę kwasu na głowę, o Gromowładny!

Zeus zmarszczył brwi, a od tego zmarszczenia zadrżała zaraz Ida. Odłamy skał zaczęły się toczyć z hukiem w morze, a lasy pokładły się, jak kłosy, które wiatr żenie.

Struchleli obaj bogowie i z bijącemi sercami czekali wyroku.

— Hermesie — rzekł Zeus, — oszukuj, ile chcesz, ludzi, ludzie chcą być oszukani. Ale bogom daj pokój, albowiem jeżeli gniewem zapłonę i rzucę cię w eter, to spadłszy, zanurzysz się tak głęboko w toni oceanu, że nawet brat mój, Posejdon, nie wydobędzie cię stamtąd trójzębem.

Boski strach chwycił Hermesa za gładkie kolana, Zeus zaś mówił dalej coraz potężniejszym głosem:

„—Kobieta cnotliwa, zwłaszcza gdy kocha innego, może oprzeć się Apollinowi...

...Ale z pewnością i zawsze oprze mu się kobieta głupia...

...Eryfila jest głupia, nie cnotliwa, i dlatego mu się oparła...

...Przetoś ty oszukał Promienistego... i Lampecyi mieć nie będziesz... A teraz, idźcie w spokoju!"

. . . . . .

Bogowie odeszli.

Zeus został sam w swej chwale radosnej. Przez chwilę patrzał milcząc w ślad za odchodzącym Apollinem i mruknął zcicha:

— O tak! Jemu potrafi się oprzeć kobieta głupia.

I zaraz potem, ponieważ był niewywczasowan bardzo, skinął na Sen, który siedząc na poblizkiem drzewie w postaci krogulca, czekał na rozkazy ojca bogów i ludzi.

Z WRAŻEŃ WŁOSKICH.

NERVI.

Może być w każdym opisie rzeczy i krajów, choćby najbardziej znanych i omówionych, coś takiego, czego nie było w poprzednich, mianowicie: nowy i odmienny stosunek oczu i osobistej duszy do otaczającego świata. Każdy, kto był we Włoszech, niechybnie zostawił w nich część duszy, każdy natomiast ma w sobie ich widzenie, jakby swoją osobistą Italię, i tem się tłómaczy zjawisko, dlaczego, mimo dzieł naukowych, wyczerpujących, mimo artystycznych opisów, kreślonych przez genialne pióra, powstają ciągle nowe opisy, nowe szkice, nowe wspomnienia.

Niech to tłómaczy i te moje, których zażądaliście ode mnie, a które powstają między jednym a drugim rozdziałem „Połanieckich,“ trochę dla rozerwania myśli, trochę dla wypoczynku, trochę dla rozproszenia tego smutku, którym napełnia się świerkowy las zakopański w dni długie, a szare i dżdżyste.

Dziwnie, raz w życiu, spotkałem się ze słynnym poetą czeskim, Vrchlickim. Było to w późną noc, na praskim Przykopie, przy księżycu. Zamieniliśmy kilkanaście słów, rozeszli się i nie zetknęli więcej. Lecz w rok lub we dwa później, doszedł mnie tom poezyi Vrchlickiego, w których znalazłem echo tego spotkania: „Tyś jest jak obłok, — mówi do mnie Vrchlicki, — który wiatr nosi po szerokim świecie, a ja, jak czeska chata, patrząca okienkami na zawsze jednaki widnokrąg.“ — I rzeczywiście, odmienne są nasze losy: istotnie jestem, jak obłok, który wiatr nosi, czasem aż do umęczenia. Ostatnim razem przepędził mnie nad Włochami — więc, co można było ujrzeć i spamiętać w przelocie — to wam posyłam — na żądanie.

Zatem trochę mórz, widzianych w blasku słonecznym, lub w zorzach, i nieco żagli rybackich, i dużo słońca, i dużo cienia z oliwnych ogrójców, i kilka okruchów z grobowców, widzianych na rożnych „*campo santo*“ — i nieco wrażeń rzymskich — i nic więcej. Jeśli to wszystko rozjaśni wasze kartki, tem lepiej dla was i dla mnie.

O Nervi ledwie kto u nas słyszał. Pegli, San-Remo, Mentona, Monte-Carlo i Nizza, leżące z tamtej strony Genui, przed i za pograniczną Ventimiglią, roją się od chorych, ratujących resztki zdrowia, i od hulaków, tracących resztki mienia — tu jeszcze niewiele osób przyjeżdża: najwięcej Niemców i trocha Anglików. A jednak przyjazd tu łatwy. Ledwie kilka małych stacyi, nawet bez innych nazw, prócz cyfr porządkowych, dzieli Nervi od Genui. Po półgodzinnej jeździe w wagonie, jest się na miejscu, a droga, choć tak krótka, daje już pojęcie o tej Rivierze „di Levante," która, ogólnie biorąc, może z tamtą „di Ponente" iść śmiało w zawody.

Lecz lepiej jeszcze jest jechać z Genui powozem. Więcej się widzi, a strata czasu niewiele większa. Wprawdzie w początku następuje nieco rozczarowania. Chciałoby się prędko wyjechać z miasta, zobaczyć szerszą przestrzeń i morze, a tu pospolita ulica genueńska ciągnie się i ciągnie; wysokie domy, zakrywające morze, zdają się przedłużać bez końca. Sklepy, jak zwykle na krańcach miasta, nędzne, ludność szara, portowa, bez wybitnego typu. Tu i owdzie trochę bielizny i kolorowych szmat na sznurach; w przerwach ulicy puste i zapylone

place, tu rusztowania nowo wznoszonych kamienic, tam szopy drewniane niewiadomego przeznaczenia — i znów szeregi domów z wązkim pasem nieba u góry, — oto co się widzi przy wyjeździe.

Lecz zwolna bruk uliczny zmienia się w zbitą, pełną kurzawy drogę, po której zaprzężone w jeden za drugim muły ciągną przy odgłosie dzwonków i biczów ciężkie dwukolne wozy; domy przerywają się, rzedną, widnokrąg się rozszerza. Po bokach widać, zamiast kamienic stare mury za zrębem, przybranym w kaktusy, w bluszcz, w powoje, w winograd lub przypołudniki *), których trójgraniaste liście, zwieszone w pękach na zewnątrz, wydają się jakby wielkie grona, przetykane żółtem, albo liliowem kwieciem.

Po chwili widnokrąg jeszcze szerszy. Wszędy pełno murów i tarasów. Na stokach wzgórz, wśród czerni cyprysów, wśród palm, podobnych do strusich piór, lub wśród pinii, bieleją wille; na trawnikach przed niemi grają fontanny. Na dalszych wzgórzach domy i domy, poprzyczepiane wszędzie, ponalepiane, jak gniazda mew, lub jaskółek, pojedyńczo, lub po kilkanaście razem. Gdzieniegdzie świeci

*) Mesenbrianthemum.

odrapana chata wiejska, pomalowana czerwono lub różowo, z nieodłączną bielizną i chustkami na sznurze, które porusza wiatr, ale które tu już grają w słońcu. I znów mur, przez który kipi zieloność, znów winograd, gaje cytryn, pomarańcz, szare i srebrne oliwniki, pinie, rzucone zuchwale ze szczytów urwisk w błękit, jakby ręką biegłego artysty, jabłonie, pokryte kwieciem, jak śniegiem, różowe migdały, brzoskwinie i wszędy powódź laurów.

Wpoprzek drogi suche łożyska potoków, zasypane żwirem, wąwozy, przez które ciągnie wiatr, pachnący morzem, mosty, nasypy, czarne otwory tunelów lub olbrzymie łuki wiaduktów, po których przelatują ze świstem i chmurą dymu pociągi. Kraj zgiełkliwy, rojny, jakby nadto zastawiony, wyglądający, jak przeładowana sprzętami izba — i przez to ciasny. Ma się wrażenie, że tu wszystkiego za dużo, i oczy, przywykłe do jednostajnych płaszczyzn i jednostajnych barw w krajobrazie i do wielkich głębin powietrznych, tęsknią mimowoli do czegoś, na czemby się mogły oprzeć i w czemby się mogły zatopić najdłużej. Wydaje się bowiem, że niema tu jakiejś nuty ogólnej, w której zlewają się rozdźwięki, że tu jest jakiś niepokój, że nic nie może ukoić się

i usnąć, jak naprzykład śpi czasem w jasne południowe godziny las sosnowy — i wreszcie, że ten kraj niema duszy poważnej i zamyślonej.

Lecz to są pierwsze wrażenia. Mijamy Bisagno i szereg przylądków, tworzących po prawej stronie drogi jakby wspiętą falę kamienną, która zasłania dalszy widok — i oto Sturla. Znów koła powozowe turkocą po kamiennych płytach i wysokie domy zwierają się w wązką uliczkę. Ale trwa to krótko. Sturla urywa się nagle i otwiera się widok na morze.

Droga idzie szczytem wyniosłego wiszaru, u którego stóp pieni się fala. Zdaje ci się teraz, że oddychasz swobodniej i szerzej, i że ktoś przebił olbrzymie okno w krajobrazie na przestrzeń, na powietrze, na spokój i jasność toni błękitnej, równej, nieskończonej. Przeładowany mnogością przedmiotów i skrępowany ciasnotą widnokręgu, wzrok był jakby ptak, zamknięty w klatce — teraz może lecieć, jak mewa, między wodą a niebem, póki mu siły stanie.

A przytem morze ma i powagę, i zamyślenie — dziwne, zarazem słoneczne i błękitne. Przed chwilą jeszcze zdawało się nam, że kraj ten nie zdoła nigdy

zasnąć, a teraz, gdy wiatr cichnie, morze śpi pod stopami wiszaru, ciche, jednostajne, ogromne, przykryte blaskiem, który, drgając jaskrawo na topieli, wydaje się jej snem.

Od Sturli traci się morze tylko chwilami z oczu, wówczas, gdy je przysłonią albo urwiska Quarto, palmy i pinie Quinto, albo wreszcie domy Nervi. Ciągną się tu te domy, jak i w innych nadbrzeżnych miasteczkach, podwójnym szeregiem, tworząc jedną, na kilka kilometrów długą, ulicę. Lecz Nervi jest większe i okazalsze od poprzedniej Sturli lub następnego Recco. Lepiej osłonione od innych miejscowości stokami góry Giugo, wybrane zostało na stacyę klimatyczną, napływ cudzoziemców ożywił ruch handlowy i dał większe widoki zarobku, skutkiem czego i ludność nagromadziła się liczniej. Słodycz klimatu Nervi musiała zresztą już dawniej zwrócić na siebie uwagę, skoro możne rodziny genueńskie rade budowały tu wille i domy letnie. Wszystkie te wille leżą od strony morza i spływają ku niemu cienistą i kołorową rzeką palm, pinii, eukaliptusów, cyprysów, pomarańcz, cytryn, bzów i róż. Między ogrodami są wązkie uliczki, dające przystęp do brzegu. Boczne ich ściany stanowią

mury ogrodowe; gałęzie rozmaitych drzew, wystając z jednej i drugiej strony i łącząc się z sobą w wielu miejscach nad uliczką, tworzą nad nią jakby rodzaj sklepienia. Słońce też nie oświeca prawie nigdy tych przejść, w których panuje wieczny cień, chłód i wilgoć, i z których wychodzi się na pełne światło morskiego brzegu, jakby się wyszło z ciemnego klasztornego kurytarza.

Niektóre wille, jak Gropallo, Serra lub Croce, ukryte wśród starych pinii, pełne pogody i wdzięku w liniach, z bramami, na których ubiegłe lata wycisnęły już piętno, podnoszą włoski charakter miasteczka i przywodzą na myśl patrycyuszowską przeszłość genueńską razem ze wspomnieniami dawnej potęgi, dawnego bogactwa, artyzmu i sławy. Inne, nowe, jak willa Ponzone, odbijając niepokojem stylu nowożytny niepokój i eklektyzm, psują ogólną harmonię i rażą kształtami, godnymi pagody, wykwintne uczucia oczu i dusz wybranych. Lecz i tu natura naprawia błędy człowieka. Bujne eukaliptusy, strzelając w górę, nakształt gotyckich wieżyczek, zasłaniają nieład architektonicznych linii, a za lat kilka zasłonią go zupełnie. U spodu budynku srebrzą się oliwki, złocą pomarańcze i płyną potoki kamelii,

białych, czerwonych, różowych, podobnych do stad barwnych motyli, lub do kolorowych gwiazd, ponabijanych w ciemną zieleń.

Willa Ponzone ma i tę zasługę, że otwierając swoje bramy dla gości leżącego naprzeciw hotelu Eden, ułatwia im przystęp do morza. Za tylnymi murami ogrodów jest tu wysoka krawędź skalista, na której urządzono miejsce przechadzki dla gości. Morze leży o kilkanaście metrów niżej od tej krawędzi. Wiatr dochodzi do niej z trudnością, bo wysokie mury bronią przystępu, kurz nigdy, bo od ulicy dzieli ją cała szerokość ogrodów. Za to słońce świeci tu i grzeje od rana do wieczora. Miejsce jest wązkie, ale ciepłe i zaciszne. Z tyłu mur, z przodu morze, dzikie rzuty skał, wbiegające w toń, tu i owdzie schodki, powykuwane w skale, wiodące na dół; domek celniczy, wieża willi Gropallo, w której niegdyś strażowano od rozbójników morskich, na północ zarysy Riviery „di Ponente," zakryte mgłą siną i różową, z drugiej strony Recco, błyszczące w świetle, i morze—oto wszystko, co stąd można zobaczyć.

Wszystko to jednak takie jest włoskie, takie pobrzeżne i morskie, takie skąpane w świetle i błę-

kicie, że oczu od tego oderwać trudno. Tu też skupia się życie Nervi; tu przesiadują przejezdni i chorzy; tu, w szerszych miejscach, rozkłada ją przekupnie swoje stragany, napełnione „tartarugą,“ wyrobami z małżowin i z oliwnego drzewa, koralami i delikatnymi filigranami ze srebra. Na innych sprzedają jedwabie, lub wielkie chusty z perkalu, malowane w kwiaty i drzewa. Bose dziewczątka o rozczochranych czuprynach i czarnych oczach, częstują cudzoziemców gałązkami bzu, pęczkami fiołków, konwalii, lub anemonów. Z dołu zapraszają do łodzi rybacy. Niektórzy goście snują się u stóp krawędzi po głazach. Czasem z Genui przyjeżdżają nowo zaślubione pary i, siadłszy zdala od ludzi, ze wspartemi o siebie głowami, topią oczy w bezmiarach morskich, czyniąc na resztę życia zapas wspomnień świetlanych i błękitnych. A morze szumi im i przybiega łagodnie aż do ich nóg. Ostatecznie morze jest duszą Nervi — i nie wille, nie ogrody, nie palmy, nie gaje kwitnących cytryn, ani tęcza róż i kamelii — tylko ono stanowi największy jego urok. A nie we wszystkich miejscowościach, zwłaszcza nie wszędzie na Rivierze „di Ponente;“ jest tak samo. W Pegli, w San-Remo, w Mentonie, w Monte-

Carlo, Nizzy i Cannes, niema takiego skupienia się wyłącznie w morzu. Tam ciągnie człowieka za drugą rękę życie, jego przepych, jego zabawy; tu, gdy oddzielą cię od miasta te wysokie mury, spieczone słońcem, gdy znajdziesz się na owym wązkim zrębie skalistym,—pozostaje ci tylko morze i nic więcej. Ma się uczucie, jakby się było gdzieś na pełni, daleko od świata, wśród ogromów i na woli bożej. To też kto tu przyjdzie, brata się z morzem, uczy mu się oddawać, kochać je i nie potrafi związanych z niem wrażeń zapomnieć.

Bo godzi ono w sobie dwie cechy, na pozór sprzeczne. Jest wiecznie jednakie i wiecznie zmienne, więc i uspokaja nas i, zamiast nużyć, ożywia. Kto wie, czy dla głębszej duszy ludzkiej spokój w różnorodności nie jest czemś blizkiem szczęścia. Przesiadywałem w Nervi nad morzem po dniach całych, czułem wyraźnie, że wszystkie widoki, którem miał przed oczyma, więc czy to poranne, czy południowe, czy to wieczorne, mają jakąś jedną wspólną duszę, a jednak ani dwóch widoków, ani dwóch chwil nie widziałem podobnych.

Rankiem toń jest rzeźwa, przezroczysta, krysztа-

łowa i bardziej, niż w innych porach, ruchoma, jakby wypoczęta po śnie. Przy brzegach pachną mocno wyrzucone przez noc porosty. Po małych ostojach rybacy ładują łodzie, które mają wyruszać na pełnię; nad nimi kręcą się stada mew. Słońce wznosząc się z za Giugo, rzuca coraz większe masy światła na oddalenie, podczas gdy bliżej, gdzie skośny promień słońca nie odrazu dochodzi, morze jest całe w pasy, szlaki, tak, jak gdyby mroki morskie, podobne do porozciąganych po wodzie welonów, nim je słońce ostatecznie zedrze, zaczepiały się jeszcze o fale. Po tych szlakach wędrują ku światłu białe żagle. Woda u brzegu ruchoma, w dali jest tak gładka, że odbijają się w niej nietylko żagle, ale i kolorowe boki łodzi.

Lecz w miarę, jak słońce się wznosi, owe ciemniejsze szlaki rozpraszają się, giną, i morze przybiera aż do krańców jednostajną modrą barwę, nad którą wznosi się nieco bledszy, wydęty błękit nieba. W oddali widać wielkie parowce, idące z Genui, gdzieś ku Afryce. Żagle rybackie z Nervi i Recco zmieniają się w plamki świetliste, które, w miarę odległości, błękitnieją i zacierają się coraz bardziej.

W południe, jeśli wiatr napędzi chmur z za Giugo, po morzu włóczą się cienie, jakby złe albo posępne myśli. Jeśli pogoda się utrwali, a słońce pocznie dopiekać, fala staje się ociężałą, senną, a zarazem migotliwą. Wówczas to następuje chwila takiego pół-snu, pół-zamyślenia, o jakiej wspomniałem poprzednio. Zrąb skalny wyludnia się, cisza ogarnia wody, małe ostoje, i na całem wybrzeżu panuje południowe milczenie.

Lecz nic nie może porównać się z zachodami słońca w dni pogodne. Podobnej gry zórz nie widziałem nigdzie — tem bardziej zaś pod zwrotnikami, bo tam noc przychodzi nagle. Raz w taki dzień wyjechałem do kościołka San-Ilario, położonego w połowie góry Giuga. Morze, jakkolwiek odległe stamtąd o kilka kilometrów, wydaje się z powodu pochyłości bardzo blizkiem. Stanąwszy na małym tarasie przy kościołku, obejmowałem oczyma widnokrąg od Alp nadmorskich Riviery „di Ponente“ aż do Portofino w drugą stronę. Nie było żadnego wiatru; cienkie gałęzie i liście oliwek zwieszały się nieruchomo. Wszędy wieczorny spokój. Tylko w kościołku dzwoniono na „nieszpór“ i przez otwarte drzwi dochodziły głosy dzieci, śpiewające *Ave*

Maria. Głosy te i dźwięk dzwonu rozbrzmiewały zarazem słodko i silnie i zdawały się lecieć z tej góry ku miasteczku i morzu, jak na skrzydłach. Ale po niejakim czasie, dzieci, skończywszy śpiewać, zaroiły się hałaśliwie przez chwilę na tarasie i znikły. Słońce zniżało się coraz bardziej, a wreszcie zanurzyło się w płomienistej wodzie. I z chwilą, gdy zaszło zupełnie, poczęły się odbywać jakby czary. Na niebie i morzu potworzyły się złote, różane i złoto-zielone smugi, taśmy, frendzle, jakby drogi i jakieś gościńce, którymi wędrowały fantastyczne okręty z ognia ku gmachom z tęczy, opalów, szmaragdów i chryzolitu. Fiolety, róże, purpura, złoto, wszystkie możliwe barwy, wszystkie blaski bengalskich ogni, drogich kamieni i pawich piór grały na niebie i wodzie. Potem jeden purpurowy ton wzmógł się nad inne, ogarniał je, przesłaniał, topił. Wreszcie i sam począł blednąć, omdlewać i zwolna zmieniać się w ton liliowy, i w coraz liliowszy, coraz bardziej nieuchwytny, mistyczny, doskonalszy, niemal nadziemski.

Stałem i patrzałem. Nie było teraz już widać ni morza, ni nieba, ni tej granicy, gdzie woda styka się z widnokręgiem—nie było widać nic, tylko jed-

ną liliową nirwanę, łagodną, spokojną i kojącą jakiemś zaświatowem ukojeniem.

A potem przyszła noc!

Lecz noc nie usypia wspomnień, i kto taką liliową symfonię raz widział, tego pamięć wróci nieraz do niej — i dusza wróci.

ORGANISTA Z PONIKŁY.

Śnieg był suchy, skrzypiący i niezbyt głęboki, a Kleń miał długie nogi, szedł więc raźno drogą z Zagrabia do Ponikły. Szedł tem raźniej, że zbierało się na mróz dobry, on zaś ubrany był kuso: w krótki surdut, jeszcze krótszy na wierzchu kożuszek, w czarne kortowe spodeńki i w cienkie łatane buty. Prócz tego, w ręku miał obój, na głowie podszyty wiatrem kapelusz, w żołądku parę kieliszków araku, w sercu radość, a w duszy walne do tej radości powody. Oto dziś rano podpisał z kanonikiem Krajewskim kontrakt, jako przyszły organista Ponikły. On, który dotąd włóczył się, bywało, jak jaki Cygańczuk, z karczmy do karczmy, z wesela na wesele, z jarmarku na jarmark, z odpustu na odpust, szukając zarobku na oboju albo na organach, na których zresztą grał lepiej od wszystkich okolicznych organistów, miał

się teraz nareszcie ustalić, osiąść w Ponikle i zacząć stateczne życie pod własnym dachem. Dom, ogród, sto pięćdziesiąt rubli rocznie, inne przy okazyi zarobki, powaga osoby, jakby nawpół duchownej, zajęcie na chwałę Bożą — któż tego nie uszanuje? Niedawno jeszcze pierwszy lepszy Maciek w Zagrabiu lub w Ponikle, byle siedział na kilku morgach, miał pana Klenia za hetkę pętelkę — teraz będą mu ludzie czapkowali. Organista—i jeszcze w takiej ogromnej parafii — toż nie wiechetek słomy! Dawno już Kleń wzdychał do tej posady, ale póki stary Mielnicki żył, nie było o czem myśleć. Palce staremu sztywniały, i licho grał, ale kanonik nie byłby go za nic odprawił, bo przeżyli z sobą dwadzieścia lat.

Lecz gdy starego uderzyła „Łysa" kanonika tak szkodliwie w dołek, że w trzy dni zmarł, nie wahał się pan Kleń prosić księdza o posadę, a kanonik nie wahał się mu jej dać, bo lepszego organisty nie mógłby ni w mieście znaleźć. Skąd się w Kleniu wzięła taka „sprytność" do oboja, do organów i do różnych innych instrumentów, na których się rozumiał, trudno było wiedzieć. Nie wziął tego po ojcu, bo ojciec, który pochodził z Zagrabia, sługiwał

za młodu w wojsku, ale nie w muzyce, na starość sznury z konopi kręcił i grywał tylko na fajce, która mu wiecznie w wąsach tkwiła.

A młody od dziecka nasłuchywał tylko, gdzie grają. Wyrostkiem jeszcze chodził „kalikować" Mielnickiemu do Ponikły, który widząc w nim taką ochotę, pokazywał mu na organach. I po trzech latach Kleń lepiej grywał od Mielnickiego. Potem, gdy raz przyszli do Zagrabia jacyś muzykanci, uciekł z nimi. Włóczył się z tą kompanią całe lata, Bóg wie gdzie, grywał pewno, gdzie popadło: na jarmarkach, weselach i po kościołach; dopiero, gdy towarzysze rozproszyli się albo pomarli, wrócił do Zagrabia, ubogi, jak mysz kościelna, wychudły — i żyjąc, jak ptak na gałęzi, grywał dalej, czasem ludziom, czasem Panu Bogu.

I choć ludzie zarzucali mu „niestatek," stał się sławny. Mawiano o nim w Zagrabiu i w Ponikle: „Kleń, jak to Kleń! Ale jak weźmie grać, to i Panu Bogu nie markotno i człowieka aż zamgli!" Inni zaś pytali: „Bój się Boga, panie Kleń, jakie to w panu licho siedzi?" I rzeczywiście siedziało jakieś licho w tym chudzielcu o długich nogach. Za życia jeszcze Mielnickiego, zastępując go w dni

wielkich świąt i odpustów, czasem zapamiętywał się całkiem przy organach. Zdarzało się to zwłaszcza w połowie sumy, gdy ludzie rozmodlili się już w kościele, gdy kadzidła rozeszły się na całą nawę, gdy rozśpiewało się wszystko, co żyło, gdy sam Kleń się rozegrał, a nabożeństwo, wraz z biciem dzwonów, dzwonków, wraz z zapachem mirry, bursztynu i wonnych ziół, z migotaniem świec i blaskiem monstrancyi, tak wezbrało w duszach ludzkich, że cały kościół zdawał się ulatywać na skrzydłach w górę. Kanonik, to zniżając, to wznosząc wówczas monstrancyę, przymykał z uniesienia oczy, a pan Kleń czynił to samo na chórze, i zdawało mu się, że organy same grają, że głosy ołowianych rur podnoszą się jak fale, płyną jak rzeki, leją się jak upusty, sączą się jak źródła, kapią jak krople dżdżu, że wypełniają cały kościół, są pod sklepieniem, i przed ołtarzem, i w kłębach kadzideł, i w świetle słonecznem, i w duszach ludzkich— jedne groźne i wspaniałe, jak grzmoty; drugie, jakby ludzkie śpiewanie, żywemi słowami mówiące; trzecie słodkie, drobne, rozsypane na kształt paciorków lub kląskań słowiczych. I po mszy schodził pan Kleń z chóru odurzony, z błyszczącemi, jak ze snu oczyma — jako zaś człowiek prosty, mówił i myślał,

że się zmęczył. Kanonik w zakrystyi kładł mu coś grosiwa do ręki, coś pochwał do uszu, on zaś szedł między lud, który się ćmił przed kościołem — i tam już czapkowano mu, choć mieszkał na komornem w Zagrabiu, i podziwiano go bez miary.

Ale pan Kleń chodził przed kościół nie dla tego, żeby usłyszeć: „Hej, patrzcie, Kleń idzie!" — ale dlatego, by obaczyć to, co mu było najmilsze w Zagrabiu, w Ponikle i w świecie całym, to jest pannę Olkę, córkę strycharza z Zagrabia. Wpiła mu się ona jak kleszcz w serce, i swemi oczyma, jak chabry, i swoją jasną twarzą, i swemi ustami, jak wiśnie. Sam pan Kleń, w rzadkich chwilach, w których patrzał roztropnie na świat i w których widząc, że strycharz mu jej nie da, myślał, że lepiej jej zaniechać, poczuwał ze strachem, że tego uczynić nie zdoła — i z wielkim frasunkiem powtarzał sobie: „Ej, to zalazła! cęgami nie wyrwiesz." Dla niej też zapewne zaprzestał włóczęgi, dla niej żył, a gdy grywał na organach, to myślał, że ona go słucha, i grywał tem lepiej.

Ona zaś, pokochawszy naprzód jego „sprytność" do muzyki, pokochała go następnie dla niego samego—i był jej ten pan Kleń najmilszy ze wszystkich,

choć miał twarz dziwną, czarniawą, oczy jak nieprzytomne, kusy surdut, krótszy jeszcze kożuszek i nogi tak długie a cienkie, jak bocian.

Ale „tatko" strycharz, choć także najczęściej w kieszeniach wiatr nosił, nie chciał dać Olki Kleniowi. „Za dziewczyną — mówił sobie — każdy się ogląda; po co jej ma taki Kleń los wiązać?" I ledwie wpuszczał go do domu, a czasem wcale nie wpuszczał. Lecz gdy stary Mielnicki umarł, zmieniło się wszystko odrazu. Kleń, po podpisaniu kontraktu z kanonikiem, poszedł w te pędy do strycharza, ów zaś powiedział mu tak: „Nie mówię, że koniecznie ma zaraz co być, ale co organista, to nie powsinoga!" I zaprosiwszy go do izby, uczęstował arakiem i uczcił jak gościa. Gdy zaś Olka nadeszła, radował się razem z młodymi, że Kleń został panem, że będzie miał dom, ogród i że po kanoniku będzie największą osobą w Ponikle.

Przesiedział tedy Kleń u nich od południa aż do wieczora z wielką i swoją, i Olki uciechą i teraz oto, wracał drogą do Ponikły, po śniegu skrzypiącym, pod zorzę wieczorną.

Zbierało się na mróz, ale on o to nie dbał, tylko szedł coraz raźniej, a idąc rozmyślał o dniu dzisiej-

szym, o Olce, i było mu ciepło. Szczęśliwszego dnia w życiu poprostu nie miał. Po pustej, bezdrzewnej drodze, wśród łąk zmarzłych, pokrytych śniegiem, mieniącym się czerwono i niebiesko pod wieczór, niósł swoją radość, jakby jasną latarkę, którą miał sobie świecić w mroku. Pamiętał i rozpamiętywał wszystko, co się zdarzyło, więc i rozmowę z kanonikiem, i podpisanie kontraktu, każde słowo strycharza i panny Olki. Ona, gdy na chwilę zostali sami, powiedziała mu tak: „Mnie to na jedno! Jabym za panem Antonim i bez tego, choć za morza poszła, ale dla tatka tak lepiej!"— On zaś pocałował ją z wielkiej wdzięczności i pomieszania w łokieć, rzekłszy przytem: „Bóg zapłać Olce, na wieki wieków, amen!" — I teraz, gdy sobie to przypominał, wstydził się trochę, że ją pocałował w łokieć i że jej tak mało powiedział, bo to czuł, że byle strycharz pozwolił, poszłaby naprawdę za nim na kraj świata. Taka poczciwości dziewczyna! — I teraz oto, wędrowałaby z nim, w razie czego, po tej pustej drodze, wśród śniegu. — „Złotoż ty moje szczere!— pomyślał pan Kleń: — kiedy tak, to będziesz panią!" — I szedł jeszcze raźniej, aż śnieg skrzypiał donośniej. Lecz wkrótce począł znów

myśleć: „Taka człowiekowi nie chybi.“ Opanowała go zatem wielka wdzięczność. Gdyby naprawdę Olka była teraz przy nim, jużby nie wytrzymał: rzuciłby swój obój na ziemię i przycisnął ją, co mocy w kościach, do piersi. Nieinaczej powinien był postąpić przed godziną — ale to zawsze tak: jak trzeba coś uczynić albo powiedzieć od serca — „to ot, człek głupieje i język ma z drewna.“ Łatwiejże grać na organach!

Tymczasem złota i czerwona wstęga, która do tej pory świeciła od zachodu na niebie, zmieniała się zwolna w złotą taśmę, w złoty sznur i wreszcie zgasła. Nastał zmrok, i gwiazdy zamigotały na niebie, tak ostro i sucho patrzące na ziemię, jak zwykle w zimie. Mróz brał tęgi i począł szczypać w uszy przyszłego organistę z Ponikły, więc znając doskonale drogę, postanowił pan Kleń pójść na przełaj, łąkami, by prędzej znaleźć się w swoim domu.

I po chwili czernił się już na równej, śnieżnej przestrzeni — wysoki, śmiesznie sterczący do góry. Przyszło mu na myśl, by dla zabicia czasu zagrać sobie trochę, póki nie zgrabieją palce — więc i uczynił, jak pomyślał. Głos oboja ozwał się w no-

cy i pustce dziwny, nikły, jakby trochę przestraszony tą białą, smutną płaszczyzną. A brzmiał on tem dziwniej, że Kleń grał same wesołe rzeczy. Bo sobie znów przypomniał, jak po jednym i drugim kieliszku u strycharza jął był grać i śpiewać, a rozochocona Olka wtórowała mu cienkim głosikiem. Te same pieśni chciał teraz wygrać, więc naprzód zaczął tę, od której ona zaczęła:

„Wyrównaj, Boże, góry z dołami,
„Niech będzie równiusieńko!
„Przyprowadź Boże, moje kochanie,
„Przyprowadź raniusieńko!“

Strycharzowi jednak nie podobała się ta pieśń, bo mu się wydała „prosta“ — i kazał im śpiewać dworskie. Wówczas wzięli się do innej, której Olka nauczyła się w Zagrabiu:

„Pojechał pan Ludwik na polowanie,
„Zostawił Helunię, jak malowanie.
„Pan Ludwik powrócił, muzyka grała,
„Trębacze trąbili, Helunia spała.“

Ta przypadła więcej strycharzowi do smaku. Lecz gdy ochota w nich wezbrała, najwięcej uśmieli

się przy „Zielonym dzbanie.“ Panna w tej pieśni, nim się zacznie w końcu śmiać, z początku płacze i zawodzi po stłuczonym dzbanku żałośnie:

„Mój zielony dzban,
„Stłukł ci mi go pan!“

A pan, — dalej-że ją pocieszać:

„Cicho, panno, nie płacz-że,
„Ja ci za dzban zapłacę!“

Olka przeciągała, jak mogła najdłużej: „Mój zielooony dzban!“ a potem w śmiech, Kleń zaś odrywał usta od oboja i odpowiadał jej, jako pan, z wielkim zamachem:

„Cicho, panno, nie płacz-że...“

I teraz, wspominając po nocy ową dzienną wesołość, wygrywał sobie „Mój zielony dzban“ — i uśmiechał się jeszcze teraz, o ile mu na to pozwalały usta, zajęte dmuchaniem w obój. Ale że mróz był duży i wargi przymarzały mu do panewki instrumentu, a palce całkiem zgrabiały od przebierania po klapkach, więc po chwili przestał grać i szedł dalej, nieco zdyszany i z twarzą w mgle, która powstawała z jego oddechu.

Po niejakim czasie zmęczył się, bo nie obliczył jednej rzeczy, mianowicie że śnieg na łąkach leży głębszy, niż na przetartej drodze i że niełatwo wyciągać z niego takie długie nogi. Prócz tego łąki w niektórych miejscach tworzyły wklęsłości, które dawne zamiecie wyrównały, ale przez które trzeba było brnąć po kolana. Kleń począł teraz żałować, że zszedł z drogi, bo tam mogła się zdarzyć jaka fura do Ponikły.

Gwiazdy migotały coraz ostrzej, mróz stawał się coraz tęższy, a pan Kleń aż się zapocił. Gdy jednak chwilami podnosił się wiatr i ciągnął łąką ku rzece, robiło mu się bardzo zimno. Próbował znów grać, ale mając usta zatkane, męczył się jeszcze więcej.

Poczęło go wreszcie ogarniać uczucie samotności. Wokoło było tak pusto, cicho i głucho, że aż dziwnie. W Ponikle czekał go ciepły dom, ale on wolał myśleć o Zagrabiu i mówił sobie: „Olka idzie spać, ale tam, chwała Bogu, w izbie ciepło!“ I na tę myśl, że tam Olce tak ciepło i jasno, radowało się zacne serce pana Klenia tembardziej, im bardziej samemu było mu zimno i ciemno.

Łąki skończyły się wreszcie, a zaczęły się past-

wiska, porosłe tu i owdzie jałowcem. Pan Kleń był już tak zmęczony, że brała go wielka ochota siąść ze swoim obojem pod pierwszym lepszym zacisznym krzakiem i odpocząć. Ale pomyślał: „Zmarznę!“ i szedł dalej. Na nieszczęście w jałowcach, tak jak pod płotami, tworzą się czasem zaspy. Kleń, przeszedłszy ich kilka, wyczerpał się tak, iż w końcu powiedział sobie:

— Siądę. Bylem nie usnął, to i nie zmarznę, a żeby nie usnąć, to sobie jeszcze zagram: „Mój zielony dzban.“

I siadłszy począł znów grać — i znów nikły głos oboja ozwał się wśród ciszy nocnej na śniegach. Lecz Kleniowi powieki kleiły się coraz bardziej, i nuta „Zielonego dzbana,“ słabiejąc i cichnąc stopniowo, ucichła wreszcie całkiem. Bronił się jednak jeszcze od snu, był jeszcze przytomny, myślał jeszcze o Olce, tylko jednocześnie czuł się w coraz większem pustkowiu, coraz więcej samotny, jakby zapomniany, i jęło ogarniać go zdziwienie, że jej przy nim niema w tej głuszy i w tej nocy.

I począł mruczeć:

— Olka, gdzie ty?

A potem raz jeszcze ozwał się, jakby na nią wołał:

— Olka!...

I obój wysunął mu się ze zgrabiałych rąk.

A nazajutrz brzask oświecił jego siedzącą postać z obojem przy długich nogach i jego zsiniałą twarz, jakby zdziwioną i zarazem jakby zasłuchaną w ostatnią nutę piosnki: „Mój zielony dzban...“

U ŹRÓDŁA.

Jestem wczorajszym studentem, i mój dyplom doktora filozofii jeszcze nie zasechł — to prawda. Nie posiadam także ani stanowiska, ani majątku. Cała moja fortuna składa się z dość lichego dworku z ogrodem i kilkuset rubli dochodu — rozumiem więc, że mi odmówili ręki Toli — ale oni mnie przytem sponiewierali.

I dlaczego? Com ja takiego uczynił? Oto przyniosłem, jak na dłoni, serce ogromnie uczciwe i powiedziałem tak: „Dajcie mi ją, a ja wam będę najlepszym synem i do śmierci się wam nie wypłacę— ją zaś będę na ręku nosił, kochał i ochraniał.“

Prawda, żem wypowiedział to głupio, nieswoim głosem, jąkając się i nie mogąc tchu złapać. Wyście jednak widzieli, że duszę z siebie wyciągam, że mówi przeze mnie uczucie takie, jakiego się codzień

na świecie nie spotyka—i, jeśliście nawet postanowili odmówić, to czemu nie odmówiliście, jak ludzie dobrzy, mający trochę miłosierdzia w sercu, tylko sponiewieraliście mnie?

Wy niby chrześcijanie, wy niby idealiści, skąd mogliście wiedzieć, co ja uczynię, wyszedłszy od was po takiej odmowie? Kto wam powiedział, że sobie w łeb nie strzelę, raz dla tego, że nie będę mógł żyć bez niej, a powtóre, że taki rozbrat między tem, co się głosi jako zasada, a między postępkami w życiu, taki faryzeizm i takie kłamstwo w głowie mi się nie pomieści? Czemu nie było wam ani przez sekundę mnie żal? Przecie i mnie nawet nie godzi się deptać bez przyczyny, przecie i mnie szkoda! Możebym i ja, gdyby nie wy, czegoś dokazał na świecie. Młody jestem, prawie student, bez majątku, bez stanowiska—dobrze! Ale, widzicie, mam przed sobą przyszłość — i dalibóg — nie wiem, dlaczegoście w nią napluli.

Te lodowate twarze! to wzgardliwe oburzenie!.. Parę dni temu, anibym przypuścił, że ci ludzie potrafią takimi być:—„Mieliśmy pana za uczciwego człowieka, a pan nas podszedłeś, pan nadużyłeś naszego zaufania“ — oto słowa, któremi cięli mnie

przez twarz, jak szpicrutą. Na chwilę przedtem winszowali mi tak serdecznie dyplomu, jakbym był ich synem—i dopiero, gdym, pobladłszy ze wzruszenia, powiedział im, co mi było największym bodźcem w pracy, serdeczność i uśmiechy zgasły, twarze im skrzepły, powiało od nich mrozem—i pokazało się, żem „nadużył ich zaufania...“

I tak mnie zgnębili, odurzyli, zdeptali, że przez chwilę i mnie samemu zdawało się, żem uczynił coś haniebnego i że ich istotnie podszedłem.

Ale jakim sposobem? Co to jest? Kto tu kogo zawiódł i kto gra rolę nędznika? Albom ja zupełnie oszalał, albo w tem, że ktoś kocha uczciwie i chce oddać duszę, krew, pracę, niema nic podłego. Jeśli wasze oburzenie było prawdziwe — to kto tu głupiec?

Ach!—i na tobie się zawiodłem, ja, którym tak na ciebie liczył! Oni mi powiedzieli: „Jesteśmy pewni, że córka nasza w niczem pana nie upoważniła do takiego kroku.“— Oczywiście, nie zaprzeczyłem. I przyszła potem ta „córka,“ z całą bezdenną biernością dobrze wychowanej panny, i wyjąkała ze spuszczonemi oczyma, że nawet nie rozumie, skąd mi przyszła myśl podobna.

Nie rozumiesz? Posłuchaj mnie, panno Tolu: nie powiedziałaś mi, że mnie kochasz — prawda! Nie mam rewersu z twoim podpisem, a choćbym go miał, tobym go nie pokazał. Ale powiem ci tylko tyle: jest jakaś sprawiedliwość, jest jakiś trybunał, wszystko jedno gdzie, czy gdzieś nad chmurami, czy w ludzkiem sumieniu, wobec którego musisz zeznać: tego człowieka zawiodłam, tego człowieka się zaparłam, tego człowieka wydałam na upokorzenie i na nieszczęście.

Nie stało ci odwagi, czy serca?—nie wiem, tylko żeś mnie zawiodła okropnie. Kocham cię jeszcze, nie chcę ci złorzeczyć, ale widzisz, gdy chodzi o zatracenie lub o ratunek człowieka, to trzeba mieć odwagę, trzeba, żeby prawość i kochanie były większe od strachu. Inaczej jest się powodem, że komuś belki mozolnie wznoszonego domu spadają na głowę. To przytrafiło się i mnie. Całą moją przyszłość budowałem na ślepej wierze w twoją miłość, i pokazało się, żem budował na piasku, bo ci w stanowczej chwili zbrakło odwagi, bo mając wybór między złym humorem twoich rodziców a moją niedolą, wybrałaś moją niedolę.

Gdybyś mi w tem rozbiciu została taką, za jaką

cię miałem, byłoby mi teraz lżej, miałbym pociechę i nadzieję. Czy ty wiesz, że wszystko, com od kilku lat robił, robiłem przez ciebie i dla ciebie? Pracowałem istotnie jak wół, nie dosypiałem po nocach, podostawałem jakieś medale i dyplomy, tobąm żył, przez ciebiem oddychał, o tobiem myślał. I oto teraz pustka przede mną, w której wyje smutek, jak pies. Nie pozostało mi nic.

Ciekawym, czy ci to choć raz do głowy przyjdzie?

Ale pewno rozsądni rodzice wytłómaczą ci, że ja jestem student i że to jest moja głupia egzaltacya. Co do studenta, gdybym nim jeszcze naprawdę był, mógłbym odpowiedzieć, jak Szekspirowski Szylok: „Zali nie jesteśmy ludźmi takimi, jak i wy? jeśli nas zakłujecie, czy nie płynie w nas krew, a jeśli nas skrzywdzicie, czy nie płyną nam łzy?“ To wszystko jedno. Kimkolwiek ktoś jest, nie wolno go krzywdzić. Moja egzaltacya, głupia, czy nie głupia, również nie upoważnia nikogo do znęcania się nade mną. Dobrze, że się już ten nasz dzisiejszy świat, tak wielka, bezduszna budowa, złożona z głupoty, kłamstwa i hypokryzyi, rysuje i rozpada, bo niepodobna na nim żyć. Ja teraz mam sobie oto

czas; zostałem psu na uciechę doktorem filozofii, więc, jako filozof, zastanawiam się nad rozmaitymi ludzkimi stosunkami, które się świeżo tak gruntownie na mnie odbiły. Wam, ludziom, tak zwanym rozsądnym, dość na tem, gdy wynajdziecie puste słowo, czczą nazwę na rzecz, a że tam ktoś kark skręci przez rzecz samą — mniejsza o to. Egzaltacya! Co mi za pociecha z nazwy, kiedy mi to skręca wnętrzności? Co mi pomożecie waszym słownikiem? Wy przytem odmawiacie prawa istnienia wszystkiemu, czego nie odczuwają wasze stępione nerwy. Gdy wam zęby wypadną ze starych szczęk, przestajecie wierzyć w ból zębów. Według was, reumatyzmy to istotnie coś poważnego; reumatyzmy naprawdę bolą, ale miłość to tylko egzaltacya. Ilekroć o tem myślę, jest we mnie dwóch ludzi: jeden—ten wczorajszy student, który w imię nowych czasów chce bić obuchem w głupotę ludzką, drugi, człowiek głęboko pokrzywdzony, któremu się chce kląć i łkać. Tak nie można żyć. Dość mamy tego idealizmu w słowach, a utylitaryzmu w czynach. Przychodzi taki czas, w którym albo trzeba stosować postępki do zasad, albo mieć odwagę wygłaszania zasad, równie cynicznych, jak postępki. Bóg

jeden wie, ile razy słyszałem od rodziców Toli, że majątek nie stanowi szczęścia, że charakter więcej jest wart od bogactwa, że spokój sumienia jest najwyższem dobrem. Tak? A oto ja mam i trochę charakteru, i wiele pracy, i spokojne sumienie, i młodość i miłość—a jednak wyrzucili mnie z tem wszystkiem za drzwi; gdybym zaś dziś wygrał na loteryi pół miliona— jutro oddaliby mi ją z radością. Jutro przyszedłby tu jej ojciec i otworzyłby mi ramiona,—jak Bóg na niebie!

Kto chce być kupcem, niechże choć umie rachować, ale wy, ludzie niby trzeźwi, nawet i tego nie umiecie. Ta wasza trzeźwość, ten wasz rozsądek prowadzi was do złudzeń. Nie umiecie rachować — słyszycie! Nie mówię tego w gorączce, to nie są żadne dziwactwa. Miłość jest, istnieje, więc trzeba ją uznać jako rzeczywistą wartość. Gdyby przyszedł jaki genialny matematyk, obliczył by ją wam na pieniądze—i dopiero wzięlibyście się za głowy, co to za bogactwo! To jest rzecz tak pozytywna, tak samo realna, tak samo niezbędna w życiu, jak pieniądze. Rachunek jest prosty: życie tyle jest warte, ile w niem jest szczęścia, a przecie to jest ogromny kapitał, niewyczerpane źródło szczęścia.

To się równa zdrowiu i młodości. A wam takie proste rzeczy w głowie się nie mieszczą. Powtarzam raz jeszcze: nie umiecie rachować! Milion jest wart milion i ani grosza więcej; wam zaś się zdaje, że prócz tego wart jest tyle, ile wszelkie inne dobro życia. Wskutek tej omyłki, błąkacie się w świecie zupełnie sztucznym, nie widzicie rzeczy we właściwych proporcyach i mylicie się co do cen. Wy jesteście romantycy, tylko wasz romantyzm jest płaski, bo pieniężny, i prócz tego szkodliwy, bo łamie i psuje życie nietylko ludziom, którzy was nie obchodzą, ale waszym własnym dzieciom.

Toli byłoby dobrze ze mną; byłaby szczęśliwa! Ale jeśli tak, to czego więcej chcecie? Nie mówcie mi, że onaby i sama mnie odepchnęła. Gdyby nie to, że wychowaniem zabiliście w niej wszelką samodzielność, wszelką wolę, szczerość i odwagę, nie siedziałbym teraz samotny z pękającą od bólu głową. Nikt Toli nie patrzał tak w oczy, jak ja — i nikt nie wie lepiej, co czuła i jakąby była, gdybyście jej duszy nie otruli.

A teraz straciłem i ją, i razem z nią wiele innych rzeczy, któremi się żyje, jak chlebem, a bez których się umiera, Oj, wy, niedoszli moi rodzice, i ty,

moja stracona żono! chwilami przypuszczam, że chyba nie zdajecie sobie sprawy, coście zrobili ze mną, bo inaczej przysłalibyście jeszcze po mnie. Niepodobna, żeby nie było wam mnie żal . . . .

. . . . . .

Co mi z wyrzutów! Słuszność po mojej stronie. To wszystko, com napisał, jest ścisłą prawdą, ale ta prawda nie powróci mi Toli.

I w tem jest przepaść — bo mi się w głowie nie może pomieścić, jakim sposobem słuszność i prawda mogą się na nic nie przydać. A mnie to wszystko na nic, zupełnie na nic! Świat przecie ma być tak samo zorganizowany, jak umysł ludzki—więc skąd ten rozbrat? Jeśli jest inaczej, to trzeba wiecznie żyć własną kołowacizną. — Nie mogę pisać dłużej.

Po długim czasie biorę się znów do pióra. Niech rzeczywistość mówi sama za siebie — ja tylko opowiem poprostu, co się stało. Wyjaśnienie przyszło dopiero po całym szeregu zdarzeń, więc i spisuję je tak, jak następowały, nim sam mogłem zrozumieć przyczyny.

Rano, nazajutrz po owym dniu klęski, przyszedł do mnie ojciec Toli. Ujrzawszy go — ścierpłem. Była chwila, że wszystkie myśli tak odleciały mi z głowy, jak stado ptaków z drzewa. Zdaje mi się, że coś podobnego musi się czuć w chwili konania. Ale on miał twarz pogodną i zaraz od progu począł mówić, wyciągając ku mnie ręce:

— No, źleśmy spędzili noc — prawda? Ja to rozumiem, bom i sam był niegdyś młody.

Nie odpowiedziałem, nie rozumiałem nic; nie wierzyłem, że go widzę przed sobą. On tymczasem, potrząsnąwszy memi dłońmi, zmusił mnie, bym siadł, i sam siadłszy naprzeciw, mówił dalej:

— Przyjdź do siebie, uspokój się i pogadajmy, jak dobrzy ludzie. Mój drogi panie, czy pan myślisz, żeś tylko sam nie spał? Myśmy także nie spali.— Jakeśmy trochę ochłonęli po odejściu pana, zrobiło nam się tak przykro, że ani rady. To tak jest! Gdy człowieka coś nagle zaskoczy, to i straci głowę, a jak straci głowę, to i miary nie zachowa.— Było nam przykro i, prawdę rzekłszy, wstyd. Dziecko uciekło do swego pokoju, a starzy, jak to starzy, nuż na siebie winę zwalać: tyś winna, tyś winien! Taka natura ludzka. Ale potem przychodzi rozmysł

i żal: Młody jest, uczciwy, zdolny, kocha, zdaje się, nasze dziecko całem sercem,—czego u licha myśmy stanęli dęba? Jedno nas tłómaczy! Jeśli pan kiedyś będziesz ojcem, to zrozumiesz, że rodzicom dla dziecka nigdy dosyć. Wszelako przypomniało nam się, że co dla nas mało, to dla Toli może być właśnie dosyć—więc postanowiliśmy lepiej wybadać, co tam dziewczyna chowa w sercu — i wezwaliśmy ją na naradę. — Dobry trzeci rajca! — niema co mówić! Jak zaczął obejmować nas za nogi, a kłaść nam na kolanach tę swoją kochaną głowinę, tak ot!.. rodzicielskie serce...

Tu wzruszył się sam, i przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wszystko, com słyszał, wydawało mi się snem, bajką, cudem; moja męka poczęła się już zmieniać w nadzieję, on zaś, opanowawszy wzruszenie, rzekł:

— Pewnoś tam na nas góry walił, a my jesteśmy ludzie dobrej woli, choć prędcy; a na dowód powiem ci, że jeśli wolisz Tolę od swojej urazy — to chodź-że tu...

I otworzył mi ramiona, ja zaś wpadłem w nie nawpół przytomny, nawpół obłąkany, szczęśliwy. Czułem, że gardło mam ściśnięte i że potrafiłbym

chyba tylko wybuchnąć łkaniem. Chciałem koniecznie przemówić i nie mogłem. W duszy miałem jeden krzyk szczęścia, zdumienia i wdzięczności. Wszystko to spadło na mnie odrazu, jak piorun; ni głowa, ni serce nie mogły tego objąć i doznawałem niemal bólu od tego nadmiaru zmian, uczuć i myśli. Ojciec Toli odjął zlekka moje ręce z własnych ramion i, całując mnie w czoło, rzekł:

— Dobrze już, dobrze! Tego spodziewałem się po twojem przywiązaniu dla niej. Zapomnij o tem, co było, i uspokój się.

Widząc jednak, że nie mogę przyjść do siebie, ni opanować wzruszenia, począł mnie gderać dobrotliwie:

— Bądź-że mężczyzną i weź się w kupę! Trzęsiesz się, jak w febrze. No, ależ ta smerda zaszyła ci się głęboko pod żebra...

— Oj głęboko! — wyszeptałem z wysileniem.

Ojciec uśmiechnął się:

— Proszę! a to niby taka cicha woda...

I widocznie ta moja niezmierna miłość do Toli schlebiała jego dumie rodzicielskiej, bo rad był i uśmiechając się ciągle powtarzał:

— To kleszcz! to kleszcz!

Ja poczułem nagle, że jeśli jeszcze kwadrans zostaniemy w pokoju, to mi się w głowie coś popsuje. W zwykłych warunkach umiem dość panować nad sobą, ale tym razem przeskok był zbyt wielki. Potrzebowałem odetchnąć świeżem powietrzem, zobaczyć ruch uliczny, przedewszystkiem zaś potrzebowałem zobaczyć Tolę, by się przekonać, że ona rzeczywiście istnieje na świecie, że to wszystko nie sen i że mi ją dają naprawdę.

Począłem prosić ojca, byśmy zaraz poszli do nich, na co zgodził się chętnie.

— Chciałem ci to sam zaproponować, — rzekł, — bo tam u nas pewno też ktoś sobie nosek o szyby rozpłaszcza i wypatruje oczy na ulicę. Teraz i tak nie byłbyś w stanie mówić o interesach, więc pomówimy o nich później.

W kilka minut potem byliśmy już w drodze. Z początku patrzałem na ludzi, domy i powozy, jak człowiek, który po długiej chorobie wyszedł pierwszy raz na miasto i doznaje zawrotu głowy. Stopniowo jednak ruch i świeży powiew oprzytomniły mnie. Nad wszystkiemi myślami zapanowała jedna: „Tola cię kocha i za chwilę zobaczysz ją!“ Czułem, że tętna biją mi w skroniach jak młotem — i rzeczy-

wiście trzeba było mieć dobre obręcze na głowie, żeby to wytrzymać. Przecie przed godziną jeszcze myślałem, że albo już Toli nigdy w życiu nie zobaczę, albo tam kiedyś, gdzieś, jako żonę innego. A teraz szedłem do niej, by jej powiedzieć, że będzie moja — i szedłem dlatego, że ona pierwsza wyciągnęła do mnie ręce. Wczoraj nazywałem ją lalką bezmyślną, a ona tymczasem włóczyła się u nóg rodziców, prosząc za nas oboje. Serce miałem przepełnione żalem, skruchą, rozrzewnieniem, poczuciem, żem Toli niewart; przysięgałem sobie, że jej to wynagrodzę, że jej za każdą łzę wczorajszą wypłacę tkliwością, przywiązaniem i zaprzedaniem się jej bez granic.

Inni zaślepiają się w miłości, ja nie potrzebowałem się zaślepiać, bo za Tolę mówiły czyny. Ona sprawiła ten cud. Krzywdziłem—ja. Krzywdziłem zarówno ją i jej rodziców. Gdyby byli takimi, za jakich ich miałem, toby się nie dali ubłagać, toby się nie zdobyli na tę prostotę, nie ludzką, ale anielską, z jaką ojciec przyszedł do mnie i powiedział: „Zbłądziliśmy — weź ją!“ — Nie powstrzymały go od tego ni konwenanse światowe, ni miłość własna.

Przypomniały mi się jego słowa: „Pewnoś tam

na nas góry walił, a my jesteśmy ludzie dobrej woli, choć prędcy.“ Ta prostota gnębiła mnie teraz tem bardziej, im większe góry na nich wczoraj waliłem. Żadnego słowa więcej, żadnego wzniosłego frazesu, żartobliwy uśmiech — i oto wszystko. Gdym teraz o tem pomyślał, nie mogłem dłużej wytrzymać, tylko chwyciwszy rękę ojca, podniosłem ją ze czcią do ust.

A on znów uśmiechnął się tym swoim dobrym, jasnym uśmiechem, i rzekł:

— Myśmy to sobie dawno z żoną powiedzieli, że zięć musi nas kochać.

I stało się jak sobie życzyli, bo nim zostałem ich zięciem, kochałem ich już, jak syn rodzony.

Ponieważ szedłem bardzo szybko, ojciec począł się drażnić ze mną, sapał, udawał, że się męczy, i mówił, że nie może nadążyć, i skarżył się na gorąco. Istotnie, wczoraj zima przełamała się. Ciepły wiatr marszczył wodę w miejskim ogrodzie i w powietrzu było jakieś odżycie, jakaś siła wiosenna. Stanęliśmy wreszcie przed mieszkaniem Toli. W oknie coś mignęło i schowało się w głąb pokoju, ale nie byłem pewien, czy to Tola. Na schodach poczęło mi znów bić serce. Bałem się matki. Przeszedłszy ja-

dalny pokój, zastaliśmy ją w salonie. Gdym wszedł, zbliżyła się szybko i wyciągnęła ku mnie rękę, którą ucałowałem ze czcią i wdzięcznością, bąkając przytem:

— Czem ja sobie zasłużyłem...

— Niech nam pan przebaczy wczorajszą odmowę,—rzekła.—Nie zastanowiliśmy się nad tem, że większego przywiązania Tola w całym świecie znaleźćby nie mogła.

— To prawda! to prawda, pani! — zawołałem z zapałem.

— A że nam przedewszystkiem o szczęście dziecka chodzi, więc zgadzamy się oddać ją panu... i mogę tylko powiedzieć: Szczęść wam, Boże!

To rzekłszy, ścisnęła moje skronie, poczem, zwróciwszy się ku drzwiom, zawołała:

— Tolu!..

I weszło to moje kochanie, blade, z zaczerwienionemi oczyma, z kosmyczkami rozwianych włosów na czole, zmieszane, wzruszone tak, jak i ja. Jakim sposobem nic w niej nie uszło mojej uwagi, — nie wiem. Wiem tylko, żem widział i łzy wezbrane pod powiekami, i drżące usta, i radość przebijającą się przez łzy, i uśmiech pod zmieszaniem.

Przez mgnienie oka stała z rękoma zawieszonemi na sukni, jakby nie wiedząc, co począć; wtem ojciec, którego humor widocznie nigdy nie opuszczał, ozwał się, ruszając ramionami:

— Ha! trudna rada! wziął na kieł i nie chce ciebie.

Wówczas spojrzała nagle na mnie i rzuciła się ojcu na szyję, wołając, jakby z wybuchem:

— Nie wierzę, tatusiu, nie wierzę!

Ja, gdybym był poszedł za pierwszym popędem serca, byłbym jej do nóg padł. Nie uczyniłem tego jedynie przez brak odwagi i dlatego, żem głowę stracił. Zostało mi tylko tyle przytomności, żem sobie w duszy powtarzał: „Ośle, nie ryknij!“ — Poczciwy ojciec znów przyszedł nam w pomoc, uwolniwszy się bowiem od uścisku Toli, rzekł, niby gniewając się na nią:

— Kiedy mnie nie wierzysz, to idź-że sobie do niego!

I posunął ją ku mnie, a przede mną niebo otworzyło się w owej chwili. Chwyciwszy jej ręce, przycisnąłem je w uniesieniu do ust i sam nie wiem, jak długo nie mogłem od nich warg oderwać. Nieraz poprzednio wyobrażałem sobie, że całuję jej ręce, ale nie wyobraźni mierzyć się z podobną rzeczywis-

tością! Miłość moja była dotychczas jak zamknięta w ciemnicy roślina. Nagle wyniesiono ją na jasne powietrze, pozwolono jej bujać w słońcu i cieple, więc miara mego szczęścia dopełniła się przez to poczucie. Piłem otwarcie ze źródła dobra i radości. Kochać i więzić w sobie miłość, a kochać i czuć, że się wchodzi w swoje prawo — kochać i brać w posiadanie, to dwie zupełnie różne rzeczy. Nietylko nie miałem, ale nie mogłem mieć o tem pojęcia.

Rodzice, pobłogosławiwszy nas, wyszli i umyślnie zostawili nas samych, abyśmy mogli wypowiedzieć sobie wszystko, cośmy wzajemnie czuli. Ale z początku, ja, zamiast rozmawiać, patrzałem tylko na nią w zachwyceniu, a jej twarz mieniła się pod moim wzrokiem. Rumieńce pokryły jej policzki, kąciki ust drgały uśmiechem, pełnym nieśmiałości i zawstydzenia, oczy miała zamglone, główkę jakby zasuniętą w ramiona—chwilami spuszczała powieki i zdawała się czekać na moje słowa.

Siedliśmy wreszcie obok siebie pod oknem, trzymając się za ręce. Dotychczas była ona dla mnie czemś jakby bezcielesnem, oderwanem, więcej kochanym duchem, więcej drogiem imieniem, więcej

podziwianym wdziękiem, niż osobą; teraz zaś, gdy ramię jej dotykało mojego, gdy biło na mnie ciepło jej twarzy, nie mogłem się oprzeć jakby pewnemu zdumieniu, że ona taka rzeczywista. Niby się to wie, ale się tego nie odczuwa, dopóki nie jest się blizko kochanej kobiety. Teraz patrzałem z takim podziwem na jej twarz, usta, oczy, na jej jasne włosy i jaśniejsze jeszcze rzęsy, jakbym jej nigdy dotąd nie widział. I upajałem się nią. Nigdy żadna twarz kobieca nie wypełniała tak dalece wszystkich moich marzeń o kobiecym wdzięku, żadna nie pociągała mnie tak nieprzeparcie. A gdym pomyślał, że te wszystkie skarby będą moje, że już należą do mnie i stanowią moje dobro najwyższe — świat cały kręcił się ze mną.

Przemówiłem wreszcie. Począłem jej opowiadać gorączkowo, jak kochałem ją od pierwszej niemal chwili — przed półtora rokiem — w Wieliczce — gdzie spotkałem ją wypadkowo w licznem, a obcem mi towarzystwie — i gdzie zrobiło jej się słabo na dnie kopalni, a ja pobiegłem po wodę do jeziorka. Nazajutrz byłem z wizytą u jej rodziców, z której wyszedłem do reszty rozkochany. Wszystko to, jak przypuszczam, było jej doskonale wiadome, ale słu-

chała z największą przyjemnością, uśmiechając się, płonąc, a czasem nawet zadając pocichutku rozmaite pytania. Mówiłem jeszcze długo i w końcu nawet mniej głupio, niżem się spodziewał, jak potem była mi jedynym celem, jedynem pokrzepieniem, jak głęboko i strasznie byłem nieszczęśliwy wczoraj jeszcze, gdym sobie powiedział, że wszystko przepadło, i gdy straciłem wiarę nawet w nią.

— Ja byłam równie nieszczęśliwa... — odpowiedziała. — I prawda, że w pierwszej chwili nie umiałam jednego słowa wyjąkać, ale potem starałam się wszystko naprawić.

Przez chwilę milczeliśmy oboje. We mnie znów odbywała się walka między nieśmiałością a chęcią ucałowania jej nóg; wreszcie, w sposób najpotworniej niezgrabny i godny ostatniego idyoty, spytałem jej, czy mnie także choć trochę kocha.

Ona przez jakiś czas siliła się na odpowiedź, ale, nie mogąc się na nią zdobyć, wstała i odeszła.

Wróciwszy po chwili z albumem w ręku, siadła napowrot przy mnie i pokazała mi rysunek, przedstawiający mój własny portret.

— To ja rysowałam z pamięci, — rzekła.

— Pani?

— Ale tam jeszcze coś jest,—mówiła dalej, kładąc paluszek na kartkę.

Teraz dopiero spostrzegłem, że na boku, na samym brzeżku, znajdują się drobniuchno wypisane literki: J. v. a.

— To się czyta po francusku, — szepnęła.

Po francusku?

I w swojej bezdénnej naiwności nie mogłem jeszcze się domyślić, co to znaczy, aż sama zaczęła:

— Je vous...

Nagle, schowawszy twarz w dłonie, schyliła się tak nizko, że dostrzegłem jej krótsze włoski, zafryzowane na szyi, i samą szyję. Teraz domyśliłem się wreszcie i począłem powtarzać z bijącem sercem:

— Teraz już wolno, wolno!

Podniosła się uśmiechnięta i rozpromieniona.

— I trzeba,—dodała mrugając oczyma, i jakby mi przykazując na przyszłość.

W tej chwili zawołano nas na śniadanie. Mógłbym był przy niem pozjadać noże i widelce, nic o tem nie wiedząc.

* * *

Człowiek z niczem się tak łatwo nie oswaja, jak ze szczęściem. To wszystko, co się stało, było wprost szeregiem cudów, a w dwa dni później zdawało mi się rzeczą zupełnie naturalną, że Tola jest moją narzeczoną, zdawało mi się, że tak być powinno i że mi się to należy—właśnie dla tego, że nikt jej tak nie kochał, jak ja.

* * *

Rozniosło się wreszcie po mieście, że zostałem narzeczonym,—i począłem odbierać życzenia od kolegów. Jeździliśmy z Tolą i jej rodzicami za miasto, przyczem wiele osób widziało nas razem. Pamiętam tę przejażdżkę doskonale. Tola, w paltociku „loutre“ i w takimże toczku, wyglądała jak zjawisko, bo jej przezroczysta cera wydawała się jeszcze delikatniejsza przy ciemno-bronzowej barwie futerka. Wszyscy oglądali się za nami, i podziwiano ją tak, że niektórzy moi znajomi stawali jak wryci.

Za rogatkami, minąwszy sznur coraz niższych domków, wyjechaliśmy wreszcie na świat otwarty. Na polach między zagonami świeciła woda, w któ-

rej długiemi smugami błyszczało światło. Łąki były całkiem zalane, zagaje bez liści, czuć jednak już było wiosnę. Przyszła wreszcie chwila zmroku, w której w całym świecie jest wielki spokój. Taki spokój ogarnął wtedy i nas. Po wstrząsających wrażeniach dni poprzednich, czułem jakby wielkie i słodkie uciszenie. Przed sobą miałem kochaną twarz Toli, różową od wiatru, ale także skupioną i ukojoną w tej ciszy wieczornej. Umilkliśmy oboje i tylko patrzaliśmy na siebie, uśmiechając się kiedy niekiedy. Pierwszy raz w życiu zrozumiałem, co to jest szczęście zupełnie niezmącone. Będąc bardzo młodym i przeżywszy mało, nie miałem zapewne ciężkich grzechów na sumieniu, ale, jak każdy człowiek, nosiłem swoje brzemię win, zboczeń i przywar. Owóż w tej chwili to brzemię spadło mi z ramion. Nie czułem w sobie żadnej goryczy, najmniejszej niechęci do ludzi; gotów byłem każdemu przebaczyć, każdemu pomódz, słowem: czułem się zupełnie odrodzony, jak gdyby miłość, zabrawszy mi całą duszę, wlała natomiast we mnie anioła.

I było tak dla tego, że mi pozwolono kochać i oddawano to drogie stworzenie, które teraz siedziało

naprzeciw mnie. Co większa, z tego samego powodu w tym powozie znajdowało się czworo ludzi, nietylko co się zowie szczęśliwych, ale lepszych, niż byli przedtem. Wszystkie małostki tego świata, liche ambicye, liche względy, wszystko to, co zniża i mierzi życie, co czyni je płaskiem i obłudnem, otrząsnęliśmy z siebie razem z poprzednią goryczą i zmartwieniem. Zaledwie rodzice Toli otworzyli dom temu błogosławionemu gościowi, natychmiast zaczęliśmy żyć szerzej i wyżej, niż poprzednio.

Więc nie mogło mi się w głowie pomieścić, dla czego ludzie tak częste odpychają to jedyne, największe dobro życia.

Jeszcze zaś częściej marnują je. Mówiłem sobie w duszy tak: Znam te zdawkowe prawdy, krążące między ludźmi, jak fałszywa moneta, że miłość starzeje się, więdnie, przechodzi, mija, i że potem tylko przyzwyczajenie jest wiązadłem między mężczyzną i kobietą. Otóż dowiodę, że to prawo stosuje się wyłącznie do ludzi głupich, albo nędznych. Są dusze wybrane, które umieją się od niego uchylić; sam takie spotykałem na świecie, więc i ja chcę i będę do nich należał. Jeśli ten płomień dziś czyni mnie tak szczęśliwym, to przecie pierwszym moim

obowiązkiem, sprawą najprostszego egoizmu jest, by nie wygasł, ani się nawet zmniejszył w przyszłości. Więc tę przyszłość wyzywam! ona ma czas, ja mam swoją wielką miłość i dobrą wolę. Żyć z Tolą i przestać ją kochać — zobaczymy!

Nagle opanowała mnie nieprzeparta chęć, by to życie rozpocząć jak najprędzej. Wiedziałem, że zwyczaje świata sprzeciwiają się temu, by narzeczeni brali ślub przed upływem wielu tygodni i miesięcy, ale przypomniałem sobie, że mam do czynienia z wyjątkowymi ludźmi. Zresztą byłem przekonany, że Tola mi w tem pomoże i postanowiłem wciągnąć ją do tej sprawy.

Więc gdy po powrocie do domu zostawiono nas samych, wyspowiadałem się jej z moich myśli. Słuchała z ogromną radością. Zauważyłem, że nietylko sam projekt, ale nawet narada nad nim, mająca urok spisku między zakochanymi, zachwyca ją poprostu. Chwilami miała taką minkę, jak dziecko, któremu obiecują, że jakaś nadzwyczajna zabawa już niezadługo się odbędzie, i nie mogła się powstrzymać od tańcowania po pokoju. Tego wieczoru jednak nie wspominaliśmy o tem, natomiast przy herbacie opowiadałem o moich nadziejach na przy-

szłość i o drogach, które się przede mną otwierają. Rodzice słuchali mnie tak, jakby te nadzieje były już spełnione. Gdybym mógł przypuścić, że ci ludzie gołębiej prostoty czynią coś przez politykę, musiałbym przyznać, że to jest najlepsza polityka, albowiem, widząc ich wiarę i ufność, powiedziałem sobie: Nie zrobię wam zawodu, choćbym miał głową nałożyć!

Wyszedłem późno. Tola wybiegła za mną i jeszcze w przedpokoju powtarzała półgłosem:

— Dobrze! dobrze! Po co marudzić? nie lubię marudztwa! dobrze! dobranoc. Boję się tylko mamy, bo mamie będzie chodziło o wyprawę.

Niebardzo istotnie rozumiałem, dla czego się robi wyprawę, skoro panny muszą przecie i jako panny mieć pewien zapas ubiorów, ale swoją drogą, wszystkie tego rodzaju wyrazy, stwierdzające niejako, że nie śnię, że się naprawdę z Tolą żenię, uszczęśliwiały mnie do wysokiego stopnia. Wracając do domu, powtarzałem mimowoli: Wyprawa! wyprawa!— nie przewiduję, by z jej powodu mogły wyniknąć jakieś poważne trudności. Widziałem jednak oczyma duszy mnóstwo sukienek jasnych, pstrych, ciemnych i kochałem się w każdej po kolei. Przyszło

mi wówczas na myśl, że i mnie wypada urządzić dom na przyjęcie Toli. Znajdowałem nową rozkosz w tej myśli. Brakło mi trochę pieniędzy, ale postanowiłem mimo tego urządzić wszystko jak najprędzej. W nocy nie mogłem spać, albowiem miałem pełną głowę sukienek, szaf, stolików, krzeseł i t. d. Dawniej nie sypiałem ze zmartwienia, potem ze szczęścia.

* * *

Nazajutrz byłem u stolarza. W lot zrozumiał, o co mi chodzi. Pokazywał mi rozmaite meble, na których widok ujrzałem dotykalniej moje przyszłe pożycie z Tolą. Nibym także to wszystko wiedział, ale dostałem bicia serca. Stolarz radził ściany pomalować, bo papierowe obicia musiałyby schnąć długo. Uczynny ten człowiek obiecał mi za odpowiedniem wynagrodzeniem sam się tem zająć.

Poszedłem od niego do dwóch kolegów, z którymi żyłem najbliżej, prosić ich na drużbów. Z rodziny nie miałem żywego ducha. Życzenia ich i uściski pomieszały się w głowie mojej z innemi wrażeniami i utworzyły prawdziwy chaos.

* * *

Tolę zastałem w salonie. Ledwiem zdążył ucałować jej ręce, wspięła się na palcach do mego ucha i szepnęła jedno słowo:

— Pozwolili!

Ostatni cień na mojem szczęściu zniknął. Od Toli biła również radość, jak światło. Poczęliśmy chodzić po pokoju pod rękę i rozmawiać. Opowiadała mi, jak się wszystko odbyło.

— Mama z początku powiedziała, że to jest rzecz niemożliwa, a potem mówiła tak: „Ty nawet nie rozumiesz, jak dalece to nie wypada, żeby panience było pilno do wesela“... Wtedy ja odpowiedziałam, że nam obojgu pilno. Mama poczęła podnosić oczy do sufitu i ruszać ramionami, a ojciec, śmiejąc się, przygarnął mnie do siebie i począł całować w głowę, a nawet po ręku, mama zaś powiedziała: „Tyś zawsze był dla niej słaby — a trzeba przecie trochę i na świat uważać.“

Dopiero tatuś odpowiedział: „Świat! świat!... Świat im nie da szczęścia, tylko sami je sobie dadzą; i tak zrobiliśmy wszystko światu na opak — niechże będzie do końca tak samo. Teraz jest post — ale zaraz po świętach mogą się pobrać, a wyprawę później się dokończy.

Mama ustąpiła, bo ojciec zawsze na swojem postawi... (Pewno i pan taki będzie). Zaczęłam też tak mamę ściskać, że nie dałam jej przyjść do słowa. Później dopiero powtarzała :„Wszystko po waryacku!“ Ale ostatecznie postawiłam na swojem. Czy pan zadowolony?

Byłem tak zakochany, czy tak nieśmiały, że nigdy dotąd nie zdobyłem się na chwycenie jej w ramiona. Teraz po raz pierwszy chciałem ją objąć, ale ona usunęła się lekko, mówiąc:

— To tak miło chodzić pod rękę... jak grzeczne dzieci.

I chodziliśmy dalej. Powiedziałem jej, żem już o mieszkaniu pomyślał i że kazałem ściany pomalować, nie olejno, bo to bardzo drogo wypada, ale jakąś farbą zupełnie do olejnej podobną, która prędko schnie. — Tola powtórzyła: „Prędko schnie“... i niewiadomo dlaczego poczęliśmy się śmiać oboje, prawdopodobnie z tego powodu, że się wspólna radość i szczęście nie mogły w nas pomieścić. Ułożyliśmy się następnie, że salonik będzie czerwony, bo choć to pospolite, ale na czerwonem tle głowy odbijają się doskonale. Jadalny miał być w jasno-zielone kafelki, naśladujące fajans, a o innych nie zdążyli-

śmy się rozmówić, bo Toli rozwiązał się bócik i poszła go zawiązać do drugiego pokoju.

Po chwili wróciła z ojcem, który nazwał mnie paliwodą i Tatarzynem, ale zarazem obiecał, że ślub nasz odbędzie się we wtorek po świętach..

* * *

W pierwszych dniach miłość nasza była ciągłem wzruszeniem i miała ustawicznie łzy w oczach, ale potem rozkwitła wesoło, jak kwiat na wiosnę. Śmieliśmy się teraz po całych dniach.

* * *

Z powodu późnych świąt, wiosna czyniła się też i na świecie. Drzewa były w pąkach. Przed wielkim tygodniem składaliśmy z Tolą i rodzicami wizyty. Oglądano mnie wszędzie z ciekawością, aż było mi czasem ciężko. Niektóre starsze panie przykładały na mój widok lornetki do oczu. Ale trzeba to było odbyć. Tola, wyświeżona i wesoła jak ptak, wynagradzała mi stokrotnie te kłopotliwe moje wizyty.

* * *

Sam pilnowałem malowania pokojów. Z powodu pogody schło wszystko w mgnieniu oka. Sypialny kazałem pomalować różowo.

* * *

Z każdym dniem kochałem Tolinkę więcej. Teraz byłem pewien, że gdyby nawet zmieniła się, gdyby nawet zbrzydła, powiedziałbym sobie: „Dotknęło *mnie* nieszczęście," ale kochać bym jej nie przestał. Człowiek w takim stanie oddaje się do tego stopnia kobiecie kochanej, że nie wie, gdzie się kończy jego *ja*.

* * *

Często bawiliśmy się jak dzieci; czasem przekomarzaliśmy się z sobą. Gdy naprzykład, przyszedłszy rano, zastawałem ją samą, zaczynałem rozpatrywać się po pokoju, niby jej nie widząc — i szukać, i pytać. „Niema tu kogo zakochanego?" — a ona, rozglądając się po kątach i trzęsąc swoją jasną główką, odpowiadała: „Nie! chyba niema!.." „A ta panienka?" — „Ta, to może trochę!" — Po chwili zaś dodawała, szepcąc: „A może i bardzo!"

Nowe uczucie wplotło się teraz w moją miłość.

Otom nietylko Tolę kochał, alem ją polubił nadewszystko. Przepadałem za jej towarzystwem. Mogłem spędzać z nią całe godziny na rozmowie o byle czem. Czasem rozmawialiśmy i poważnie o naszej przyszłości, choć wogóle unikałem wszelkich roztrząsań i teoryi na temat, jakiem małżeństwo być powinno. Myślałem bowiem tak: czemu mam zamykać w powzięte z góry formuły to, co powinno wynikać samo przez się z miłości? Kwiatom nie potrzeba także wykładać teoryi, jak się kwitnie.

* * *

Wielki Piątek przeszedł cichy, posępny. Na ulicach była mgła i padał drobniuchny deszcz. Chodziliśmy z rodzicami i Tolą po grobach i składaliśmy, co tam które mogło, na tace kwestarek. Tola, czarno ubrana, pogodna, ale pełna spokoju i powagi, wydawała mi się tak piękna, jak nigdy dotąd. Chwilami w mroku kościelnym, albo przy odbłyskach świec, miała twarz zupełnie anielską. Tego dnia zaziębiła się nieco, ja zaś latałem po wszystkich sklepach za starą malagą, którą ktoś doradził jej pić.

* * *

Święta spędziłem u rodziców Toli. Nie mając nikogo z własnej rodziny, pierwszy raz zrozumiałem, co to jest mieć swoich drogich i być dla kogoś drogim. W drugie święto wiosna uczyniła się zupełna.

Z domem przyszedłem jeszcze przed świętami do jakiego takiego porządku. Ogródek począł się zielenić, stare czereśnie rozkwitły.

Również jeszcze przed świętami wyszła z druku moja rozprawa doktorska o Neoplatonikach. Tola zabrała się do czytania jej. Biedactwo mrugało oczyma, kręciło główką, ale czytało przez poczucie obowiązku.

* * *

A oto cisną mi się do głowy wspomnienia — nie, — raczej obrazy naszego ślubu — pomieszane, bezładne, przepełnione pojedyńczemi wrażeniami, nieco gorączkowe. Widzę wszędy pełno kwiatów: na schodach i w pokojach. W domu bieganina, przybywanie gości, mnóstwo obcych, lub mało znanych twarzy. W salonie Tola, przybrana w białą

suknię z welonem — śliczna jak zjawisko, ale jakaś inna, niż zwykle, bardziej uroczysta, jakby mniej mi blizka. Zostało mi wrażenie jakiegoś pośpiechu i niepokoju. Wszystko, co nastąpiło po wyjeździe do kościoła, przedstawia mi się w zamieszaniu: kościół, ołtarz, świece przy ołtarzu, po bokach jasne toalety kobiet, zaciekawione oczy, szepty. Klęknąwszy z Tolą przed ołtarzem, podaliśmy sobie ręce, jakby do powitania, i po chwili rozległy się głosy nasze — a brzmiące jak obce: „Ja biorę ciebie sobie...“ etc. Słyszę dotąd organy i ogromnie donośny śpiew, który wybuchnął na chórze tak nagle, jak wodotrysk: „Veni Creator...“ Wyjścia z kościoła nie pamiętam zupełnie, a z wesela tkwią mi w pamięci: błogosławieństwo rodziców i wieczerza. Tola siedziała przy mnie, i przypominam sobie, że co chwila przykładała ręce do policzków, które ją paliły bardzo. Przez bukiety na stole widziałem rozmaite twarze, którychbym dziś nie poznał. Pito nasze zdrowie z wielkim brzękiem szkła i z wielkim gwarem. Koło północy zabrałem żonę do domu.

Z tej drogi zostanie mi na zawsze w pamięci wspomnienie jej głowy, opartej o moje ramię, i jej białego woalu, pachnącego fijołkami.

* *
* *

Nazajutrz czekałem na nią z herbatą w jadalnym pokoju; ona tymczasem, ubrawszy się, wyszła drugiemi drzwiami do ogrodu, ujrzałem ją bowiem przez okno, na tle kwitnących czereśni. Pobiegłem natychmiast za nią, lecz ona, odwróciwszy się, przysunęła głowę do pnia, jakby chcąc się schować przede mną.

Myślałem, że to żarty, więc zaszedłszy cicho, objąłem ją wpół i rzekłem:

— Dzień dobry. A kto to się chowa przed mężem? Co tu robisz?

Wtem spostrzegłem, że ona zaczerwieniła się naprawdę, że unika mego wzroku i istotnie odwraca się ode mnie.

— Co tobie, Tolu? — spytałem.

— Bo ja patrzę... — odrzekła cała zmieszana — że wiatr otrząsa kwiaty z wisień...

— A niech je sobie i porwie, — odpowiedziałem — byleś ty mi została...

I przechyliłem jej twarz ku mojej, a ona poczęła szeptać z przymkniętemi oczyma:

— Nie patrz na mnie, idź sobie...

Ale jednocześnie usta jej wyciągnęły sie ku mnie prawie namiętnie, ja zaś wpiłem się w nie z uniesieniem.

A wiatr począł rzeczywiście sypać białe kwiaty na nasze głowy.

Zbudziwszy się, ujrzałem gołe ściany mojej izby. Miałem tyfus — i bardzo ciężki. Dwa tygodnie leżałem bez przytomności w gorączce...

Ale i gorączka bywa czasem miłosierdziem bożem.

Oprzytomniawszy, dowiedziałem się, że rodzice panny Antoniny wyjechali razem z nią do Wenecyi...

A ja zaś, samotny jak dawniej, kończę dziwnem może wyznaniem. Oto byłem jednak w moich widzeniach tak niezmiernie szczęśliwy, że, zacząwszy zrazu dlatego tylko pisać, by mi owa ironia życia nie przepadła, zamykam powyższe wspomnienie bez żalu i z dawną wiarą, że ze wszystkich źródeł szczęścia, to, z którego piłem w gorączce, jest najczystsze i najprawdziwsze.

Takie życie, którego miłość, nawet jako sen, nie nawiedzi, — jest jeszcze gorsze.

LUX IN TENEBRIS LUCET.

Przychodzą czasem jesienią, zwłaszcza w listopadzie, dni tak wilgotne, ciemne i posępne, że nawet zdrowemu człowiekowi życie się przykrzy. Od czasu jak Kamionka uczuł się niezdrów i przestał pracować nad posągiem „Miłosierdzia,“ niepogoda taka dokuczała mu więcej od samej choroby. Co rano, zwlókłszy się z łóżka, przecierał spotniałe wielkie okno pracowni i spoglądał do góry, w nadziei, że zobaczy choć skrawek błękitnego nieba; ale co rano czekał go zawód. Ciężka ołowiana mgła wisiała nad ziemią; deszcz nie padał, a mimo tego nawet brukowe kamienie na podwórzu wyglądały jak gąbki nasiąkłe wodą; wszystko było mokre, oślizgłe, przejęte nawskroś wilgocią, której pojedyńcze krople, spadając z zagięcia rynien, dzwoniły z jakąś rozpaczliwą jednostajnością, jakby odmierzając ów wlokący się leniwie czas smutku.

Okno pracowni wychodziło na podwórze, zakończone z tyłu ogrodem. Trawa za sztachetami zieleniła się jeszcze jakąś chorą zielonością, w której tkwiła śmierć i zgnilizna; ale drzewa z resztkami żółtych liści, o gałęziach czarnych od wilgoci, a zarazem nieco zatartych przez mgłę, wydawały się już zupełnie obumarłe. Co wieczór rozlegało się między niemi krakanie wron, które z lasów i pól ściągały już na zimowe leże do miasta i z wielkiem łopotaniem skrzydeł, sadowiły się na nocleg wśród konarów.

Pracownia w podobne dni stawała się tak ponura jak kostnica. Marmur i gips potrzebują błękitu, w takiem zaś ołowianem oświetleniu, białość ich miała w sobie coś żałobnego; postacie z ciemnej terrakoty, tracąc wszelką wyrazistość linii, zmieniały się w jakieś kształty nieokreślone i prawie straszne.

Brud i nieład dodawały smutku pracowni. Na podłodze leżał grubą warstwą kurz, utworzony z rozdeptanych okruchów zeschłej terrakoty i z błota naniesionego z ulicy. Ściany były mroczne, przybrane tylko tu i owdzie gipsowymi modelami rąk i nóg; zresztą puste; niedaleko od okna wisiało ma-

łe lustro, nad niem czaszka końska i bukiet makartowskich kwiatów, zupełnie poczerniały od kurzu.

W kącie stało łóżko pokryte kołdrą starą i pomiętą, przy niem szafka nocna z żelaznym lichtarzem. Kamionka przez oszczędność nie trzymał osobnego mieszkania i sypiał w pracowni. Zwyczajnie łóżko zasłonione było parawanem, ale teraz parawan był odstawiony, w tym celu, by choremu łatwiej było spoglądać w okno leżące wprost jego nóg, i patrzeć, czy się nie wypogadza. Drugie, jeszcze większe okno wycięte w pułapie pracowni było tak pokryte zewnątrz kurzem, że nawet w jasne dni wchodziło przez nie światło szare i smutne.

Nie wypogadzało się jednak. Po kilku dniach ciemności, chmury zniżyły się zupełnie, powietrze nasiąknęło do reszty wilgotną, ciężką mgłą i uczyniło się jeszcze ciemniej. Kamionka, który dotychczas pokładał się tylko na łóżku w ubraniu, uczuł się gorzej, więc rozebrał się i położył na dobre.

Właściwie mówiąc, nie był on tyle chory na jakąś określoną chorobę, ile przygnębiony, zniechęcony, wyczerpany i smutny. Ogólne osłabienie ścięło go z nóg. Nie miał ochoty umrzeć, ale też nie czuł w sobie sił do życia.

Długie godziny mrocznego dnia wydawały mu się tem dłuższe, że nie miał przy sobie nikogo. Żona jego umarła przed laty dwudziestu, krewni mieszkali w innej części kraju, a z kolegami nie żył. W ostatnich latach znajomi poodsuwali się od niego, z powodu coraz wzrastającej w nim zgryźliwości. Z początku to jego usposobienie bawiło ludzi, ale następnie, gdy stawał się coraz większym dziwakiem, i gdy każdy żart począł w nim budzić długotrwałą urazę, nawet najbliżsi pozrywali z nim stosunki.

Brano mu także za złe, że z wiekiem stał się pobożnym i podejrzewano jego szczerość. Złośliwi mówili, że przesiaduje po kościołach dla tego, by przez stosunki z księżmi wyrobić sobie zamówienia do kościołów. Nie była to zresztą prawda. Pobożność jego nie płynęła może z głębokiej i spokojnej wiary, ale była bezinteresowna.

Co jednak dawało pozory słuszności posądzeniom, to wzmagające się coraz bardziej w Kamionce skąpstwo. Od kilku lat zamieszkał przez oszczędność w pracowni; żywił się Bóg wie czem i zrujnował sobie zdrowie do tego stopnia, że w końcu twarz jego stała się tak przezroczysta i żółta, jakby była ulepiona z wosku. Ludzi unikał także i dlatego, by

czasem nie zażądał kto od niego jakiejkolwiek przysługi.

Wogóle był to człowiek z charakterem zwichniętym, zgorzkniały i nadzwyczaj nieszczęśliwy. A jednak nie była to natura z gruntu pospolita, gdyż nawet wady jego miały właściwe sobie, artystyczne cechy. Ci, którzy sądzili, że przy swem skąpstwie musiał zebrać znaczny majątek, mylili się. Kamionka był naprawdę człowiekiem ubogim, albowiem wszystko co posiadał, wydawał na akwaforty, których miał całą tekę na dnie szafy, a które od czasu do czasu przeglądał i liczył z ostrożnościami i chciwością lichwiarza liczącego pieniądze. Z zamiłowaniem tem ukrywał się jak najstaranniej, może właśnie dla tego, że wyrosło na gruncie wielkiego nieszczęścia i wielkiego uczucia.

Raz, mniej więcej w rok po śmierci żony, zobaczył u antykwaryusza stary sztych, wyobrażający Armidę—i w twarzy Armidy dopatrzył się podobieństwa do twarzy swej zmarłej. Sztych ten nabył zaraz i od tej pory począł szukać miedziorytów, z początku, przedstawiających tylko Armidy, następnie, w miarę jak zamiłowanie w nim wzrastało, — i wszelkich innych.

Ludzie, którzy stracili istoty bardzo kochane, muszą zaczepić życie o byle co, inaczej nie mogliby istnieć. Co do Kamionki, niktby się nie domyślił, że ten podstarzały dziwak i egoista kochał niegdyś nad życie swoją żonę. Prawdopodobnie też, gdyby nie była umarła, życie jego popłynęłoby pogodniej, szerzej i bardziej po ludzku. Bądź co bądź, miłość ta przeżyła w Kamionce i jego szczęśliwe czasy i jego młodość i nawet jego talent.

Pobożność, która z biegiem lat zmieniła się w nim na zwyczaj, polegający na zachowywaniu form zewnętrzych, wypłynęła również z tego samego źródła. Kamionka, nie należąc do ludzi głęboko wierzących, począł jednak po śmierci żony modlić się za nią, bo mu się zdawało, że to jest jedyna rzecz, którą może dla niej uczynić, i że w ten sposób jeszcze go jakaś nić z nią łączy.

Natury pozornie zimne umieją często kochać i nader mocno i trwale. Po śmierci żony, całkowite życie Kamionki i wszystkie jego myśli owinęły się koło wspomnienia o niej i czerpały z niego pokarm, zupełnie jak pasorzytna roślina czerpie pokarm z pnia, na którym żyje. Ale z tego rodzaju wspomnień roślina ludzka może czerpać tylko zatrute

soki, złożone z żalu i ogromnego zmartwienia, więc też i Kamionka zatruwał się, krzywił i marniał.

Gdyby nie był artystą, prawdopodobnie nie przeżyłby swej straty, ale powołanie ocaliło go w ten sposób, że po śmierci żony, począł rzeźbić dla niej pomnik. Próżno żywym mówić, że dla umarłych wszystko jedno w jakich grobach leżą. Kamionka chciał, by jego Zosi było tam pięknie — i pracował nad jej pomnikiem, tyle samo sercem, ile rękoma. To sprawiło, że przez pierwsze pół roku nie dostał pomieszania zmysłów i że zżył się z rozpaczą.

Człowiek pozostał zwichnięty i nieszczęśliwy, ale sztuka ocaliła artystę. Od tej pory Kamionka istniał przez nią. Ludzie, którzy po galeryach przypatrują się posągom i obrazom, nie domyślają się, że artysta może służyć sztuce uczciwie lub nieuczciwie. Pod tym względem Kamionka był bez zarzutu. Nie miał on skrzydeł u ramion, posiadał tylko talent nieco wyższy nad średnią miarę, i może dlatego sztuka nie zdołała mu ani wypełnić życia, ani wszystkich strat nagrodzić — ale ją głęboko szanował i zawsze był względem niej szczery. Przez długie lata swego zawodu nie oszukał i nie ukrzywdził jej nigdy, ani dla sławy, ani dla pokupu, ani dla po-

chwał, ani dla przygan. Tworzył zawsze tak, jak czuł. Za swych szczęśliwych czasów, gdy żył jak każdy inny człowiek, umiał rozpowiadać o sztuce rzeczy zupełnie niepowszednie, a i potem, gdy już poczęto od niego stronić, rozmyślał nieraz o niej w swojej samotnej pracowni, w sposób uczciwy i wysoki.

Czuł się ogromnie opuszczony, ale nie było w tem nic dziwnego. Stosunki ludzkie muszą mieć jakąś średnią modłę, na mocy której, ludzie wyjątkowo nieszczęśliwi bywają z życia wyłączani. I z tej samej przyczyny, porastają tak dziwactwem i wadami, jak kamień wyrzucony z potoku porasta mchem, gdy przestanie ocierać się o inne. Teraz gdy Kamionka zachorował, żadna żywa dusza nie zajrzała do jego pracowni, z wyjątkiem posługaczki, która dwa razy dziennie przychodziła nastawić i podać mu herbatę. Za każdem przyjściem radziła mu, aby wezwał lekarza, lecz on, bojąc się wydatku, nie chciał się na to zgodzić.

Nakoniec zesłabł bardzo, może dlatego, że nic nie brał do ust prócz herbaty. Ale on do niczego nie miał już ochoty, ani do jedzenia, ani do pracy, ani do życia. Myśli jego były tak zwiędłe, jak owe

liście, na które spoglądał przez okno, i odpowiadały zupełnie tej jesieni, tej słocie i tym ołowianym ciemnościom. Niema gorszych chwil na świecie, nad takie, w których człowiek czuje, że czego miał dopełnić, to już dopełnił, co miał przeżyć, to przeżył i że mu się już nic w życiu nie należy. Kamionka od lat blizko piętnastu żył w ciągłym wewnętrznym niepokoju, że jego talent wyczerpuje się. Obecnie był tego pewien i z goryczą myślał, że nawet i sztuka go opuszcza. Czuł przytem wyczerpanie i znużenie w każdej kości. Nie spodziewał się rychłej śmierci, ale nie wierzył w swój powrót do zdrowia. Wogóle nie było w nim ani jednej iskry nadziei.

Jeśli sobie jeszcze czegoś teraz życzył, to chyba tego, by się wypogodziło i by słońce zaświeciło w pracowni. Sądził nawet, że w takim razie nabrałby może jakiejkolwiek otuchy. Zawsze był on szczególnie wrażliwy na słotę, ciemności, zawsze takie dni powiększały jego smutek i pognębienie, a cóż dopiero teraz, gdy ów czas, jak go Kamionka nazywał: beznadziejny, przyszedł w towarzystwie choroby!

Co rano też, gdy posługaczka przychodziła z herbatą, Kamionka pytał:

— A nie przeciera się tam gdzie po brzegach?

— Ale! — odpowiadała stróżka: — mgła taka, że człowiek człowieka nie widzi.

Chory, usłyszawszy odpowiedź, przymykał oczy i pozostawał długie godziny bez ruchu.

Na podwórzu było ciągle cicho, tylko krople deszczu dzwoniły równo i jednostajnie w rynnach.

O godzinie trzeciej po południu, robiło się już tak ciemno, że Kamionka musiał zapalać świecę. Z powodu osłabienia przychodziło mu to z niemałą trudnością. Naprzód, nim sięgnął po zapałki, namyślał się czas dłuższy; potem wyciągał leniwie ramiona, których chudość, widoczna przez rękawy koszuli, napełniała go jako rzeźbiarza wstrętem i goryczą; potem zapaliwszy światło, wypoczywał znów nieruchomie, aż do wieczornego przyjścia stróżki, słuchając z przymkniętemi oczyma kropel dzwoniących w rynnach.

Dziwnie wówczas wyglądała pracownią. Płomień świecy oświetlał łóżko i leżącego w niem Kamionkę, zbierając się w błyszczący punkt na jego czole, obciągniętem skórą suchą i żółtą, jakby wypolerowaną. Reszta izby pogrążała się w mroku, który z każdą chwilą czynił się gęstszy. Ale w miarę jak

na dworze ciemniało, posągi stawały sie coraz różowsze i nabierały życia. Płomień świecy to zniżał się, to podnosił, a w tym drgającym blasku i one zdawały się to zniżać, to podnosić, zupełnie tak, jakby wspinały się na palce, chcąc lepiej spojrzeć w wychudłą twarz rzeźbiarza i przekonać się, czy ich twórca żyje jeszcze.

I rzeczywiście była w téj twarzy pewna nieruchomość śmierci. Ale kiedy niekiedy sinawe usta chorego poruszały się lekkim ruchem, jakby się modlił, albo jakby klął swoje opuszczenie i te utrapione krople wilgoci, które zawsze tak samo równo i jednostajnie odmierzały mu godziny choroby.

Pewnego wieczoru, stróżka przyszedłszy nieco pijana, zatem rozmowniejsza niż zwykle, rzekła:

— Na mojej głowie tyle roboty, że ledwie dwa razy w dzień mogę zajrzeć. Wziąłby ot sobie panisko zakonnicę, bo siostra i nic nie kosztuje i najlepiej choremu wygodzi.

Kamionce podobała się ta rada, ale jak zwykle ludzie zgryźliwi, miał zwyczaj sprzeciwiać się zawsze temu, co mu doradzano, więc się nie zgodził.

Jednakże po odejściu stróżki, począł o tem rozmyślać. Siostra miłosierdzia!... prawda! Nic nie

kosztuje, a jaka przytem pomoc i wygoda! Kamionka, jak każdy chory, pozostawiony samemu sobie, doznawał mnóstwa przykrości i walczył z tysiącami małych nędz, które mu równie dokuczały, jak go niecierpliwiły. Nieraz leżał z głową przekrzywioną niewygodnie po całych godzinach, nim się zebrał na poprawienie sobie poduszki; nieraz w nocy robiło mu się zimno, i byłby dał Bóg wie co za szklankę gorącej herbaty; ale jeśli zapalenie świecy przychodziło mu z trudem, jakże mu było myśleć o zagotowaniu sobie wody? Siostra miłosierdzia czyniłaby to wszystko ze zwykłą siostrom łagodną skwapliwością. O ileż lżej chorować przy takiej pomocy!

Biedaczysko doszedł wreszcie do tego, że o chorobie w takich warunkach począł myśleć jak o czemś pożądanem i pomyślnem i dziwił się w duszy, że nawet dla niego takie szczęście jest dostępne.

Zdawało mu się także, że gdyby siostra nadeszła i wniosła z sobą trochę wesołości i otuchy do pracowni, to może wypogodziłoby się także i na dworze i te dzwoniące krople wilgoci przestałyby go prześladować.

Zdjął go w końcu żal, że odrazu nie zgodził się

na radę stróżki. Zbliżała się noc długa i posępna, a stróżka miała do niego zajrzeć dopiero następnego rana. Teraz zrozumiał, że ta noc będzie dla niego cięższa, niż wszystkie poprzednie.

Potem przyszło mu do głowy, jaki jednak wielki z niego Łazarz—i w przeciwstawieniu do dzisiejszej nędzy, dawne, szczęśliwsze lata życia stanęły mu jakby żywe przed oczyma. A jak przed chwilą myśl o zakonnicy, tak teraz wspomnienie o owych latach połączyło się znów w ten sam dziwny sposób w jego osłabionym mózgu z pojęciem słońca, światła i pogody.

Począł rozmyślać o swojej zmarłej i rozmawiać z nią, jak to miał zwyczaj zawsze czynić, gdy mu było bardzo źle. W końcu zmęczył się, uczuł, że słabnie i usnął.

Świeca stojąca na szafce nocnej dopalała się zwolna. Płomień jej z różowego stał się błękitny, potem błysnął mocno kilkakroć i zgasł. Ciemność zupełna objęła pracownię.

A tymczasem na dworze krople wilgoci spadały wciąż równo i tak posępnie, jakby przez nie dystylował się mrok i smutek całej natury.

Kamionka spał długo lekkim snem, lecz nagle

zbudził się z jakiemś dziwnem wrażeniem, że coś niezwykłego dzieje się w pracowni. Na świecie był brzask. Marmury i gipsy poczęły się bielić. Szerokie, weneckie okno, leżące wprost łóżka, nasiąkało coraz bardziej bladem światłem.

W tem oświetleniu Kamionka ujrzał jakąś postać siedzącą przy łóżku.

Otworzył szeroko oczy i wpatrzył się w nią: była to siostra miłosierdzia.

Siedziała ona nieruchomie, zwrócona nieco ku oknu i z głową pochyloną. Ręce jej były złożone na kolanach — i zdawała się modlić. Chory nie mógł dojrzeć jej twarzy; widział natomiast wyraźnie biały jej kornet i ciemny zarys ramion, trochę wątłych.

Serce poczęło mu bić jakoś niespokojnie, a przez głowę przemknęły pytania:

— Kiedy stróżka mogła sprowadzić tę siostrę i jak ona tu weszła?

Następnie pomyślał, że może z osłabienia coś mu się wydaje, i przymknął oczy.

Lecz po chwili otworzył je znowu.

Siostra siedziała zawsze na tem samem miejscu. nieruchoma, jakby pogrążona w modlitwie.

Dziwne uczucie, złożone z przestrachu i z wielkiej radości, poczęło podnosić włosy na głowie chorego. Coś ciągnęło jego wzrok z niepojętą siłą ku tej postaci. Zdawało mu się, że ją już niegdyś widział, ale gdzie i kiedy? — nie pamiętał. Chwyciła go niepohamowana chęć zobaczenia jej twarzy, ale biały kornet zasłaniał ją, Kamionka zaś, sam nie wiedząc dlaczego, nie śmiał ani odezwać się, ani poruszyć, ani prawie odetchnąć. Czuł tylko, że uczucie strachu, a zarazem radości obejmuje go coraz silniej i ze zdumieniem pytał sam siebie: co to jest?

Tymczasem rozwidniło się zupełnie. I co za cudny poranek musiał tam być na dworze! Nagle bez żadnych przejść, weszło do pracowni światło tak mocne, jasne i radosne, jakby to była wiosna i maj. Fale złotego blasku, wzbierając jak powódź, poczęły wypełniać izbę, zalewać ją tak potężnie, że marmury utonęły i rozpuściły się w tej jasności, ściany zlały się z nią, potem znikły zupełnie — i Kamionka znalazł się jakby w jakiejś świetlanej przestrzeni bez granic.

Wtem spostrzegł, że i kornet na głowie zakonnicy poczyna tracić swą białą sztywność, drga po brzegach, topnieje, rozpływa się jak jasna mgła i zmienia się także w światło.

Zakonnica zwróciła zwolna twarz ku choremu — i nagle ów opuszczony nędzarz ujrzał w świetlanej aureoli znajome, stokroć ukochane rysy swej zmarłej.

Wówczas zerwał się z łóżka, a z piersi jego wydarł się krzyk, w którym były całe lata łez, żalu, zmartwienia i rozpaczy:

— Zosia! Zosia!

I chwyciwszy ją, tulił do siebie, a ona również zarzuciła mu ręce na szyję.

Światło napływało coraz więcej.

— Nie zapomniałeś o mnie, — rzekła wreszcie, — więc przyszłam i uprosiłam ci śmierć lekką.

Kamionka wciąż trzymał ją w ramionach, jakby w obawie, że błogosławione widzenie zniknie mu razem z tem światłem.

— Jam gotów umrzeć, — odpowiedział — byleś została przy mnie.

Ona uśmiechnęła się do niego anielskim uśmiechem i odejmując jedną rękę z jego szyi, wskazała nią na dół i rzekła:

— Tyś już umarł: patrz tam!

Kamionka spojrzał w kierunku jej ręki i hen, pod stopami, ujrzał przez okno w pułapie wnętrze swej

pracowni mrocznej, samotnej; w niej na łóżku leżał jego własny trup z szeroko otwartemi ustami, które w wyżółkłej twarzy tworzyły jakby czarną jamę.

I patrzał na to wychudłe ciało, jak na rzecz obcą. Zresztą po chwili poczęło mu wszystko ginąć z oczu, bo owa otaczająca ich jasność, jakby popychana zaświatowym wiatrem, szła gdzieś w nieskończoność...

BĄDŹ BŁOGOSŁAWIONA.

LEGENDA INDYJSKA.

Raz, w jasną noc księżycową, mądry a wielki Krysza zamyślił się głęboko i rzekł:

— Myślałem że człowiek jest najpiękniejszym tworem na ziemi—i myliłem się. Oto widzę kwiat lotusu, kołysany nocnym powiewem. O ileż on piękniejszy od wszystkich żyjących istot: listki jego otwarły się właśnie na srebrne światło księżyca — i oczu nie mogę od niego oderwać...

— Tak niema między ludźmi nic podobnego,— powtórzył z westchnieniem.

Ale po chwili pomyślał:

— Dlaczego bym ja, bóg, nie miał potęgą słowa stworzyć istoty, która by była tem między ludźmi, czem lotus między kwiatami? Niech więc tak będzie na radość ludziom i ziemi. Lotusie, zmień się w żyjącą dziewicę i stań przedemną.

Zadrżała wnet leciuchno fala, jakby trącona

skrzydłem jaskółki, noc rozjaśniła się, księżyc zabłysnął mocniej na niebie, rozśpiewały się głośniej nocne drozdy, a potem nagle umilkły. I czar się spełnił: przed Kryszną stanął lotus w ludzkiej postaci.

Sam bożek zdumiał się.

— Byłaś kwiatem jeziora, — rzekł, — bądź odtąd kwiatem myśli mojej i przemów.

A dziewczyna poczęła szeptać tak cicho, jak szemrzą białe płatki lotusu, całowane letnim powiewem.

— Panie! zmieniłeś mnie w żywą istotę; gdzież mi teraz zamieszkać każesz? Pamiętaj, panie, że gdy byłam kwiatem, drżałam i tuliłam listki za każdem tchnieniem wiatru. Bałam się, panie, nawalnych dżdżów i burzy, bałam się gromów i błyskawic, bałam się nawet palących promieni słońca. Tyś mi kazał być wcieleniem lotusu, więc zachowałam dawną naturę i teraz boję się, panie, ziemi i wszystkiego, co się na niej znajduje... Gdzież mi zamieszkać każesz?

Kryszna podniósł mądre oczy ku gwiazdom, przez chwilę myślał, poczem spytał:

— Chcesz żyć na szczytach gór?

— Tam śniegi i zimno, panie: boję się.

— A więc... Zbuduję ci pałac z kryształu na dnie jeziora.

— W głębinach wód przesuwają się węże i inne potwory: boję się, panie!

— Chcesz stepów bez końca?

— O panie! wichry i burze tratują stepy, na kształt stad dzikich.

— Cóż z tobą uczynić kwiecie wcielony?... Ha! w pieczarach Ellory żyją święci pustelnicy... Czy chcesz zamieszkać zdala od świata w pieczarze?

— Ciemno tam, panie: boję się.

Kryszna usiadł na kamieniu i wsparł głowę na ręku. Dziewczyna stała przed nim drżąca i przestraszona.

Tymczasem zorza poczęła rozświecać niebo na wschodzie. Ozłociła się toń jeziora, palmy i bambusy. Chórem ozwały się różowe czaple, błękitne żórawie i białe łabędzie na wodach, pawie i bengali w lasach, a do wtóru im rozległy się dźwięki strun, nawiązanych na muszlę perłową, i słowa ludzkiej pieśni.

Kryszna obudził się z zadumy i rzekł:

— To poeta Walmiki wita wschód słońca.

Po chwili rozsunęły się firanki purpurowych kwiatów, pokrywających lijany, i nad jeziorem ukazał się Walmiki.

Ujrzawszy wcielony lotus, przestał grać. Perłowa muszla wysunęła mu się zwolna z dłoni na ziemię, ręce opadły wzdłuż bioder i stanął niemy, jak gdyby wielki Kryszna zmienił go w drzewo nadwodne.

A bożek ucieszył się z tego podziwu nad własnem dziełem i rzekł:

Zbudź się, Walmiki, i przemów.

I Walmiki przemówił:

— ..... Kocham!...

To jedno słowo tylko pamiętał i to jedno mógł wypowiedzieć.

Twarz Kryszny rozpromieniła się nagle.

— Cudna dziewczyno, — znalazłem godne ciebie miejsce na świecie: zamieszkaj w sercu poety.

Walmiki zaś powtórzył po raz drugi:

— ..... Kocham!...

Wola potężnego Kryszny, wola bóstwa poczęła popychać dziewczynę ku sercu poety. Bożek uczynił też serce Walmiki przejrzystem jak kryształ.

Pogodna jak dzień letni, spokojna jak fala Gangesu, wstępowała dziewczyna w przeznaczony dla

siebie przybytek. Lecz nagle, gdy głębiej spojrzała w serce Walmiki, twarz jej pobladła i strach owionął ją, niby wiatr zimny. A Kryszna zdziwił się.

— Kwiecie wcielony, — spytał, — czy i serca poety się boisz?

— Panie, — odpowiedziała dziewczyna, — gdzież mi to zamieszkać kazałeś? Otom w tem jednem sercu ujrzała i śnieżne szczyty gór, i głębiny wód, pełne dziwnych istot, i step z wichrami i burzą, i ciemne jaskinie Ellory; więc boję się znowu, o panie!

Lecz dobry a mądry Kryszna rzekł:

— Uspokój się, kwiecie wcielony. Jeśli w sercu Walmiki leżą samotne śniegi, bądź ciepłem tchnieniem wiosny, które je stopi; jeśli jest głębia wodna, bądź perłą w tej głębi; jeśli jest pustka stepu, posiej w niej kwiaty szczęścia; jeśli są ciemne pieczary Ellory, bądź w tych ciemnościach słońca promieniem...

A Walmiki, który przez ten czas odzyskał mowę, dodał:

— I bądź błogosławiona!

PÓJDŹMY ZA NIM!

I.

Kajus Septimus Cinna był patrycyuszem rzymskim. Młodość spędził w legionach i twardem obozowem życiu. Później, wrócił do Rzymu, by używać sławy, rozkoszy i wielkiego, lubo już nieco zachwianego majątku. Użył też wówczas i nadużył wszystkiego, co dać mogło olbrzymie miasto. Noce spędził na ucztach we wspaniałych podmiejskich willach; dni schodziły mu na szermierkach u lanistów, na rozmowach z retorami w tepidaryach, gdzie prowadzono dysputy, a przytem opowiadano plotki z miasta i świata,—w cyrkach, na wyścigach lub zapasach gladyatorów,—wśród lutnistów greckich, wśród wróżek trackich i cudnych tancerek, sprowadzanych z wysp Archipelagu. Krewny przez matkę sławnego niegdyś

Lukulla, odziedziczył po nim zamiłowanie do wytwornego jadła. Na stołach jego podawano greckie wina, ostrygi z Neapolis, koszatki z Numidyi i tłuste szarańcze, duszone na miodzie z Pontu. Wszystko co posiadał Rzym, musiał posiadać i Cinna, począwszy od ryb z morza Czerwonego, aż do białych pardw z nad brzegów Borystenu. Używał on jednak nietylko jak żołnierz, który szaleje, ale jak patrycyusz, który przebiera. Wmówił w siebie, a może i wzbudził zamiłowanie do rzeczy pięknych: do posążków, wydobywanych ze zgliszcz Koryntu, do epilychniów z Attyki, do waz etruskich lub sprowadzanych z mglistego Sericum, do mozaik rzymskich, do tkanin z nad Eufratu, do arabskich wonności i tych wszystkich osobliwych drobiazgów, które wypełniały czczość patrycyuszowskiego życia. Umiał też o nich rozmawiać, jak znawca i miłośnik, z bezzębnymi starcami, którzy przyozdabiali do stołu łysiny w wieńce z róż, a po ucztach żuli kwiat heliotropu, by oddech płuc uczynić wonnym. Odczuwał również piękność Cyceronowskiego okresu, wiersz Horacego lub Owidyusza. Wychowany przez retora Ateńczyka, mówił biegle po grecku, umiał na pamięć całe ustępy z „Iliady“ i w cza-

sie uczt mógł śpiewać tak długo pieśni Anakreonta, dopóki się nie spił, lub nie ochrypł. Przez swego mistrza i innych retorów, otarł się o filozofię i zapoznał się z nią o tyle, że rozumiał architekturę różnych umysłowych gmachów, powznoszonych w Helladzie i Osadach; rozumiał i to również, że wszystkie leżały w gruzach. Znał osobiście wielu stoików, do których żywił niechęć, uważał ich bowiem raczej za partyę polityczną, a prócz tego za tetryków, przeciwnych wesołemu życiu. Sceptycy zasiadali często przy jego stole, obalając między potrawami całe systemy i głosząc, przy kraterach napełnionych winem, że rozkosz jest marnością, prawda czemś niedoścignionem, i że celem mędrca może być jedynie martwy spokój.

Wszystko to obijało się o jego uszy, nie wnikając do głębi. Nie wyznawał on żadnych zasad i nie chciał ich mieć. W postaci Katona widział skojarzenie się wielkiego charakteru z wielką głupotą. Życie uważał za morze, na którem wieją wiatry, dokąd chcą — a mądrością była dla niego sztuka nadstawiania im żagla tak, by łódź popychały. Prócz tego, cenił szerokie ramiona, które posiadał, zdrowy żołądek, który posiadał, i piękną rzymską

głowę o orlim profilu i potężnych szczękach, którą posiadał. Był też pewny, że z tem można jakoś przejść przez życie.

Nie należąc do szkoły sceptyków, był życiowym sceptykiem, ale zarazem hedonikiem, chociaż wiedział, że rozkosz nie jest szczęściem. Prawdziwej nauki Epikura nie znał, skutkiem czego sam poczytywał się za Epikurejczyka. Wogóle na filozofię patrzał, jak na umysłową szermierkę, równie dobrą jak ta, której uczyli laniści. Gdy go rozprawy znudziły szedł do cyrku patrzeć na krew.

W bogów nie wierzył, tak samo jak w cnotę, prawdę i szczęście. Wierzył tylko we wróżby i miał swoje przesądy, a oprócz tego, tajemnicze wiary Wschodu budziły jego ciekawość. Dla niewolników był dobrym panem, o ile chwilowa nuda nie przywodziła go do okrucieństwa. Mniemał, że życie jest wielką amforą, którą, im lepszy gatunek wina wypełnia, tem jest ciemniejszą, więc starał się swoją wypełnić jak najlepszem. Nie kochał nikogo, ale lubił wiele rzeczy, między innemi zaś własną orlą głowę o czaszce wspaniałej — i swoją kształtną patrycyuszowską nogę.

W pierwszych latach hulaszczej epoki, lubił tak-

że zadziwiać Rzym, i udało mu się to kilkakrotnie. Później zobojętniał i na to.

II.

W końcu zrujnował się. Majątek rozdrapali wierzyciele, Cinnie natomiast pozostało znużenie, jakby po wielkim trudzie, przesyt i jeszcze jedna, bardzo niespodziana rzecz, mianowicie jakiś głęboki niepokój. Użył przecie bogactwa, użył miłości, tak, jak ją świat ówczesny rozumiał, użył rozkoszy, użył sławy wojennej, użył niebezpieczeństw; poznał, mniej więcej, zakres myśli ludzkiej, zetknął się z poezyą i sztuką, więc mógł sądzić, że wziął z życia wszystko, co ono dać mogło. Tymczasem teraz, miał takie uczucie, jakby czegoś zaniechał — i to czegoś najważniejszego. Nie wiedział jednak co to jest, i próżno łamał sobie nad tem głowę. Nieraz próbował się z tych rozmyślań i z tego niepokoju otrząsnąć, próbował w siebie wmówić, że w życiu nic więcej niema i być nie może, ale wówczas niepokój jego, zamiast się zmniejszać, wzrastał natych-

miast do tego stopnia, iż mu się zdawało, że się niepokoi nie tylko za siebie, ale za cały Rzym. Jednocześnie zazdrościł sceptykom i zarazem miał ich za głupców, ponieważ twierdzili, że próżnię można doskonale wypełnić niczem. Było w nim teraz jakby dwóch ludzi, z których jeden zdumiewał się nad własnym niepokojem, drugi uznawał go mimowoli za zupełnie słuszny.

Wkrótce po utracie majątku, dzięki możnym rodzinnym wpływom, wysłano Cinnę na urzędowanie do Aleksandryi, trochę w tym celu, by w bogatym kraju odbudował na nowo majątek. Niepokój siadł z nim na okręt w Brundisium i towarzyszył mu przez morze. W Aleksandryi myślał Cinna, że sprawy urzędu, nowi ludzie, inny świat, nowe wrażenia uwolnią go od natrętnego towarzysza — i omylił się. Upłynął miesiąc, dwa — i równie jak ziarno Dometry, przywiezione z Italii, wschodziło jeszcze bujniej na żyznym gruncie Delty, tak i ów niepokój z bujnego krzewu zmienił się jakby w cedr rozłożysty i począł rzucać coraz większy cień na duszę Cinny.

Z początku próbował Cinna zagłuszyć się takiem życiem, jakie dawniej prowadził w Rzymie. Aleksandrya była rozkosznem miastem, pełnem Gre-

czynek o płowych włosach i jasnej cerze, którą egipskie słońce powłóczyło bursztynowym przezroczym połyskiem. W ich to ramionach szukał ukojenia.

Lecz gdy i to okazało się próżnem, począł myśleć o samobójstwie. Wielu jego towarzyszów zbyło się trosk życia właśnie w taki sposób i z powodów jeszcze błahszych, niż powód Cinny: często z nudy tylko, z czczości lub z braku ochoty do dalszego używania. Gdy niewolnik trzymał miecz zręcznie i dość silnie, jedna chwila kończyła wszystko. Cinna chwycił się tej myśli, lecz gdy już prawie postanowił pójść za nią, powstrzymał go dziwny sen. Oto zdawało mu się, że gdy przewożono go przez rzekę, spostrzegł na drugim brzegu swój niepokój, w postaci wynędzniałego niewolnika, który, skłoniwszy mu się, rzekł: „Uprzedziłem cię, by cię przyjąć.“ — Cinna zląkł się po raz pierwszy w życiu, zrozumiał bowiem, że skoro o pogrobowem istnieniu nie może myśleć bez niepokoju, to pójdą tam we dwóch.

W ostateczności, postanowił zbliżyć się do mędrców, od których roiło się Serapeum, sądząc, że może u nich znajdzie rozwiązanie zagadki. Ci wprawdzie, nie potrafili nic mu rozwiązać, ale za to mianowali

go „τοῦ μουσείου," który to tytuł przyznawali zwykle Rzymianom wysokiego rodu i znaczenia. Na razie mała to była pociecha, i stempel mędrca, dany człowiekowi, który nie umiał sobie odpowiedzieć na to, co go obchodziło najżywiej, mógł wydawać się Cinnie ironią — przypuszczał jednak, że Sarapeum może nie odrazu odsłania całą swą mądrość — i nie tracił zupełnie nadziei.

Najczynniejszym między mędrcami w Aleksandryi był szlachetny Tymon Ateńczyk, człowiek możny i obywatel rzymski. Mieszkał on od kilkunastu lat w Aleksandryi, dokąd przybył dla zgłębienia tajemniczej nauki egipskiej. Mówiono o nim, że nie było ani jednego pergaminu lub papirusu w Bibliotece, któregoby nie przeczytał — i że posiadł całą mądrość ludzką. Był przytem człowiekiem słodkim i wyrozumiałym. Wśród mnóstwa pedantów i komentatorów o skrzepłych mózgach, Cinna wyróżnił go od razu i wkrótce zawarł z nim znajomość, która po pewnym czasie zmieniła się w bliższą zażyłość, a nawet w przyjaźń. Młody Rzymianin podziwiał jego biegłość w dyalektyce, wymowę i rozwagę, z jaką starzec mówił o rzeczach wzniosłych, dotyczących przeznaczeń człowieka i świata. Uderzało w nim

szczególnie to, że owa rozwaga była połączona jakby z pewnym smutkiem. Później, gdy zbliżyli się z sobą, niejednokrotnie brała Cinnę ochota zapytać starego mędrca o powód tego smutku, a zarazem otworzyć przed nim własne serce. Jakoż w końcu do tego przyszło.

III.

Pewnego wieczoru, gdy po gwarnych rozprawach o wędrówce dusz, zostali sam na sam na tarasie, z którego widok był na morze, Cinna, wziąwszy rękę Tymona, wyznał otwarcie co mu było największem udręczeniem życia, i dla jakich powodów starał się zbliżyć do uczonych i filozofów z Serapeum:

— Tyle przynajmniej zyskałem — rzekł w końcu, żem poznał ciebie, Tymonie, i teraz wiem, że jeśli ty nie rozwiążesz zagadki mego życia, nikt inny tego uczynić nie zdoła.

Tymon wpatrywał się czas jakiś w wygładzoną toń morską, w której odbijał się nów księżyca, poczem rzekł:

— Widziałeś, Cinno, owe stada ptaków, które tu nadlatują w zimie z mroków północy? Czy wiesz, czego one szukają w Egipcie?

— Wiem. Ciepła i światła.

— Dusze ludzkie także szukają ciepła, które jest miłością, i światła, które oznacza prawdę. Ale ptaki wiedzą, dokąd lecieć po swe dobro, dusze zaś latają po bezdrożach, w zabłąkaniu, smutku i niepokoju.

— Czemu, szlachetny Tymonie, nie mogą znaleźć drogi?

— Dawniej spoczynek był w bogach, dziś wiara w bogi wypaliła się, jakby oliwa w lampie. Potem sądzono, że filozofia będzie dla dusz słońcem prawdy — dziś, jak sam wiesz najlepiej, na jej gruzach i w Rzymie i w Akademii w Atenach, i tu, siedzą sceptycy, którym zdawało się, że wnoszą spokój, a wnieśli niepokój. Bo wyrzec się świata i ciepła jest to zostawić dusze w ciemności, która jest niepokojem. Więc, wyciągnąwszy ręce przed siebie, szukamy po omacku wyjścia...

— Zali i ty go nie znalazłeś?

— Szukałem i nie znalazłem. Tyś szukał go w rozkoszy, ja w myśleniu—i obu nas jednaka mgła

otacza; wiedz przeto, że nie sam jeden się dręczysz i że w tobie dręczy się dusza świata. Wszakże oddawna już nie wierzysz w bogów?

— W Rzymie czczą ich jeszcze publicznie i sprowadzają nawet nowych z Azyi i Egiptu, ale wierzą w nich szczerze chyba tylko przekupnie jarzyn, którzy z rana przyjeżdżają ze wsi do miasta.

— I ci są jedynie spokojni.

— Równie jak ci, którzy tu biją pokłony kotom i cebuli.

— Równie jak ci, którzy, jak syte zwierzęta, nie pragną niczego więcej, tylko snu po jadle.

— Lecz czyli wobec tego warto żyć?

— Zali wiemy, co nam przyniesie śmierć?

— Więc jakaż jest różnica między tobą a sceptykami?

— Sceptycy godzą się na ciemność, lub udają, że się godzą, ja zaś męczę się w niej.

— I nie widzisz wybawienia?

Tymon umilkł na chwilę, poczem odrzekł zwolna, jakby z pewnem wahaniem:

— Czekam go.

— Skąd?

— Nie wiem.

Potem wsparł głowę na dłoni i jakby pod wpływem ciszy, która zalegała tarasy, począł mówić równie przyciszonym głosem:

— Bo dziwna rzecz, ale czasem mi się wydaje, że gdyby świat nie mieścił w sobie nic więcej nad to, co wiemy, i gdybyśmy niczem więcej być nie mogli nad to, czem jesteśmy, toby nie było w nas niepokoju... Tak więc w chorobie czerpię nadzieję zdrowia... Wiara w Olimp i filozofia zmarły, ale zdrowiem może być jakaś nowa prawda, której nie znam.

. . . . . .

Nadspodziewanie, rozmowa ta przyniosła Cinnie wielką ulgę. Usłyszawszy, że nietylko on jest chory, ale cały świat chory, doznał takiego uczucia, jakby ktoś zdjął z niego ogromny ciężar i rozłożył go na tysiące ramion.

IV.

Od owego czasu przyjaźń, łącząca Cinnę ze starym Grekiem, stała się jeszcze ściślejsza. Odwiedzali się teraz często i dzielili się tak myślami, jak

chlebem w czasie uczt. Cinna zresztą, mimo swych doświadczeń i znużenia, które idzie za użyciem, był zbyt młodym, by życie nie miało jeszcze chować dla niego ponęt nieznanych — i taką właśnie ponętę znalazł w jedynej córce Tymona, Antei.

Sława jej nie była mniejszą w Aleksandryi od sławy ojca. Wielbili ją dostojni Rzymianie, bywający w domu Tymona, wielbili Grecy, wielbili filozofowie z Serapeum, i wielbił lud. Tymon nie zamykał jej w ginaceum, jak były zamykane inne kobiety, i starał się przelać w nią wszystko, co sam wiedział. Gdy wyszła z lat dziecinnych, czytywał z nią księgi greckie, a nawet rzymskie i hebrajskie, gdyż, obdarzona nadzwyczajną pamięcią, a wychowana w różnojęzycznej Aleksandryi, wyuczyła się biegle tych języków. Była mu ona towarzyszem w myślach, często brała udział w rozprawach, jakie podczas sympozyonów prowadzono w domu Tymona, często w labiryncie trudnych zagadnień umiała, jak Aryadna, nie zabłąkać się sama i drugich za sobą wyprowadzić. Ojciec miał dla niej podziw i cześć. Otaczał ją prócz tego urok tajemnicy i niemal świętości, albowiem miewała sny wróżebne, w których widywała rzeczy niewi-

dzialne dla zwykłych oczu śmiertelnych. Stary mędrzec kochał ją, jak duszę własną jeszcze i dla tego, że obawiał się ją stracić, częstokroć bowiem mówiła, że w snach zjawiają jej się jakieś istoty, dla niej złowrogie — i jakieś dziwne światło, o którem nie wie, czy będzie źródłem życia, czy śmierci.

Tymczasem jednak otaczała ją tylko miłość. Egipcyanie, którzy bywali w domu Tymona, zwali ją Lotusem, może dlatego, że kwiat ten odbierał boską cześć na wybrzeżach Nilu, a może także dlatego, że kto ją raz ujrzał, mógł zapomnieć o całym świecie.

Piękność jej bowiem dorównywała mądrości. Egipskie słońce nie przyćmiło jej twarzy, w której różowe promienie świtu zdawały się być zamknięte w przezroczu muszli perłowej. Oczy jej miały błękit Nilu, a spojrzenie płynęło z równie nieznanych oddaleń, jak wody tej tajemniczej rzeki. Gdy Cinna ujrzał i usłyszał ją po raz pierwszy, wróciwszy do siebie, miał ochotę w atrium swego domu wznieść na jej cześć ołtarz i ofiarować na nim białe gołębie. Spotykał on w życiu tysiące kobiet, począwszy od dziewcząt z głębokiej północy o białych rzęsach i włosach barwy dojrzałych zbóż, aż do czarnych jak lawa Numidek—ale nie spotkał dotychczas ani

takiej postaci, ani takiej duszy. I im częściej ją widywał, im lepiej poznawał, im częściej zdarzało mu się słuchać jej słów, tem bardziej rosło jego zdumienia. Chwilami, on, który nie wierzył w bogi, przypuszczał, że Antea nie może być córką Tymona, tylko jakiegoś boga, więc nawpół tylko jest kobietą, nawpół zaś nieśmiertelną.

I wkrótce pokochał ją miłością niespodziewaną, ogromną i nieprzepartą, tak różną od uczuć, jakich doznawał dotychczas, jak Antea była różną od innych kobiet. Chciał ją posiadać tylko po to, aby ją czcić. Gotów zaś był oddać krew, by posiadać. Czuł, że wolałby być żebrakiem z nią, niż cezarem bez niej. I jak wir morski porywa z niepohamowaną potęgą wszystko, co znajdzie się w jego okręgu, tak miłość Cinny porwała jego duszę, serce, myśli, jego dni, noce i wszystko, z czego się składa życie.

Aż wreszcie porwała i Anteę.

— Tu felix, Cinna! — powtarzali mu przyjaciele. — Tu felix, Cinna! — powtarzał sam sobie — i gdy ją wreszcie zaślubił, gdy jej boskie usta wyrzekły sakramentalne słowa: „Gdzie ty, Cajus, tam i ja, Caja“ — wówczas zdawało mu się, że szczęście jego będzie, jak morze — nieprzebrane i bez granic.

V.

Rok przeszedł, i ta młoda żona odbierała zawsze przy ognisku domowem cześć niemal boską; była mężowi źrenicą oka, miłością, mądrością, światłem. Ale Cinna, porównywając swe szczęście z morzem, zapomniał, że morze miewa odpływy. Po roku Antea zapadła na okrutną, nieznaną chorobę. Sny jej zmieniły się w straszne widzenia, które wyczerpywały jej życie. Na jej twarzy zgasły promienie świtu, została tylko przezroczystość muszli perłowej; ręce jej poczęły przeświecać, oczy zapadły głęboko pod czoło—i różowy lotus stawał się coraz bardziej białym lotusem, tak białym jak twarze umarłych. Zauważono, że jastrzębie poczęły krążyć nad domem Cinny, co w Egipcie było wróżbą śmierci. Widzenia stawały się coraz straszliwsze. Gdy w południowych godzinach słońce zalewało świat białym blaskiem, a miasto pogrążało się w milczenie, zdawało się Antei, że słyszy wokół siebie szybkie kroki jakichś niewidzialnych istot, a w głębinach powietrza widzi suchą, żółtą twarz trupią,

spoglądającą na nią czarnemi oczyma. Oczy te wpatrywały się w nią uporczywie, jakby wzywając ją, by gdzieś szła, w jakiś mrok, pełen tajemnic i lęku. Wówczas ciało Antei poczynało drżeć, jak w febrze, czoło jej pokrywało się bladością, kroplami zimnego potu, i ta czczona kapłanka domowego ogniska zmieniała się w bezbronne i przerażone dziecko, które chroniąc się na piersi męża, powtarzało zbielałemi ustami: „Ratuj mnie, Kajusie! broń mnie!“

I Kajus byłby się rzucił na wszelkie widmo, jakie z podziemia mogła wypuścić Persefona, ale próżno wpijał wzrok w przestrzeń. Naokół, jak zwykle w godzinach południowych, bywała pustka. Biały blask zalewał miasto; morze zdawało się płonąć w słońcu, a w ciszy słychać było tylko kwilenie jaskrzębi, krążących nad domem.

Widzenia stawały się coraz częstsze — potem codzienne. Prześladowały one Anteę zarówno na zewnątrz domu, jak w atrium i w izbach. Cinna za poradą lekarzy sprowadzał sambuciny egipskie i Beduinów grywających na glinianych piszczałkach, którzy gwarną muzyką mieli zagłuszać ów szum niewidzialnych istot. Ale okazało się to próż-

nem. Antea słyszała go wśród największego gwaru, a gdy słońce stanęło tak wysoko, że cień leżał około nóg człowieka, jak osunięta z ramion szata, wówczas w drgającem z żaru powietrzu, zjawiała się trupia twarz, i patrząc szklanemi oczyma na Anteę, cofała się zwolna, jakby chcąc jej powiedzieć: „Chodź za mną!“

Czasem wydawało się Antei, że usta trupa poruszają się zwolna, czasem, że wylatują z nich czarne, szkaradne żuki i lecą ku niej przez powietrze. Na samą myśl o widzeniu, oczy jej napełniały się przerażeniem, a w końcu życie stało się dla niej męką tak straszną, że prosiła Cinny, aby jej nadstawił miecz, lub pozwolił wypić truciznę.

A on wiedział, że tego uczynić nie zdoła. Tym samym mieczem powyparałby sobie dla niej żyły, ale zabić jej nie mógł. Gdy sobie wyobrażał tę drogą głowę, martwą, z zamkniętemi powiekami, pełną mroźnego spokoju, i tę pierś rozdartą jego mieczem, wówczas czuł, że chcąc to uczynić, musiałby pierwej oszaleć.

Pewien lekarz grecki powiedział mu, że to Hekate pojawia się Antei, a owe niewidzialne istoty, których szelest przeraża chorą, należą do orszaku złowro-

giego bóstwa. Według niego, nie było dla Antei ratunku, kto bowiem ujrzał Hekatę, musiał umrzeć.

Wówczas Cinna, który przed niedawnym jeszcze czasem, byłby się śmiał z wiary w Hekatę, ofiarował jej hekatombę. Ale ofiara nie pomogła, i następnego dnia posępne oczy spoglądały znów o południu na Anteę.

Próbowano zasłaniać jej głowę, lecz ona widziała trupią twarz nawet przez najgrubsze zasłony. Gdy była zamknięta w ciemnej izbie, twarz spoglądała na nią ze ścian, rozświecając ciemność swym bladym, trupim blaskiem.

Wieczorami bywało chorej lepiej. Wówczas zapadała w taki sen głęboki, że i Cinnie, i Tymonowi wydawało się nieraz, iż się z niego nie obudzi więcej. Wkrótce zasłabła tak, iż nie mogła chodzić o własnej mocy. Noszono ją w lektyce.

Dawny niepokój Cinny wrócił ze stokroć większą mocą i ogarnął go całkowicie. Był w nim strach o życie Antei, ale było zarazem dziwne poczucie, że choroba jej stoi w jakimś tajemniczym związku z tem wszystkiem, o czem mówił Cinna w pierwszej szczerej rozmowie z Tymonem. Być może, że stary mędrzec myślał to samo, ale Cinna nie chciał i bał

się go o to zapytać. Tymczasem chora więdła, jak kwiat, w którego kielichu zagnieździ się pająk jadowity.

Cinna jednak wbrew nadziei, ratował ją rozpaczliwie. Naprzód wywiózł ją na pustynie w pobliżu Memfisu, lecz gdy pobyt w ciszy piramid nie uwolnił jej od strasznych widzeń, wrócił do Aleksandryi i otoczył ją wróżbitami, czarownikami, zamawiającymi chorobę i wszelkiego rodzaju bezczelną zgrają, która wyzyskiwała za pomocą cudownych leków ludzką łatwowierność. Ale on już nie miał wyboru i chwytał się wszelkich środków.

W tym czasie przyjechał z Cezarei do Aleksandryi sławny lekarz Żyd, Józef syn Khuzy. Cinna sprowadził go natychmiast do żony—i przez chwilę nadzieja wróciła do jego serca. Józef, który nie wierzył w greckie i rzymskie bogi, odrzucił z pogardą mniemanie o Hekacie. Przypuszczał, że to raczej demony opętały chorą, i radził opuścić Egipt, gdzie, prócz demonów, także i wyziewy błotnistej Delty mogły szkodzić jej zdrowiu. Radził też, może dla tego, że sam był Żydem, udać się do Jerozolimy, jako do miasta, do którego demony nie mają przystępu, i w którem powietrze jest suche i zdrowe.

Cinna tem chętniej poszedł za jego radą, że naprzód nie było już innej, a powtóre, że Jerozolimą rządził znajomy mu prokurator, którego przodkowie byli niegdyś klientami domu Cinnów.

Jakoż, gdy przybyli, prokurator Pontius przyjął ich z otwartemi rękoma i oddał im na mieszkanie własny dom letni, leżący w pobliżu murów. Ale nadzieja Cinny rozchwiała się jeszcze przed przybyciem. Trupia twarz patrzała na Anteę nawet na pokładzie galery — po przyjeździe zaś na miejsce, chora oczekiwała południowej godziny z taką samą śmiertelną trwogą, jak niegdyś w Aleksandryi.

I tak im poczęły schodzić dni w pognębieniu, lęku, rozpaczy i oczekiwaniu śmierci.

VI.

W atrium, mimo fontanny, cienistego portyku i wczesnej godziny, było ogromnie gorąco, bo marmur rozpalił się od wiosennego słońca, ale opodal od domu rosła stara i rozłożysta pistacya, zacienia-

jąca dokoła znaczną przestrzeń. Przewiew, jako w miejscu otwartem, był tam także daleko większy, tam więc Cinna kazał postawić przybraną w hiacynty i kwiat jabłoni lektykę, w której spoczywała Antea. Następnie siadłszy przy niej, położył dłoń na na jej bladych, jak alabaster, rękach i spytał:

— Dobrze ci tu, carissima?

— Dobrze, — odpowiedziała zaledwie dosłyszanym głosem.

I przymknęła oczy, jakby ją ogarniał sen. Nastało milczenie; tylko powiew poruszał z szelestem gałązkami pistacyi, a na ziemi, wokół lektyki migotały złote plamki od promieni, przedzierających się przez liście — szarańcze sykały między kamieniami.

Chora otworzyła po chwili oczy.

— Kaju, — rzekła — czy prawda, że w tej ziemi zjawił się filozof, który uzdrawia chorych?

— Oni tu takich prorokami zowią, — odpowiedział Cinna. — Słyszałem o nim i chciałem go wezwać do ciebie, ale okazało się, iż to był fałszywy cudotwórca. Bluźnił on przytem przeciw tutejszej świątyni i zakonowi tej ziemi, przeto prokurator wydał go na śmierć, i dziś właśnie ma być ukrzyżowany.

Antea spuściła głowę.

— Ciebie wyleczy czas — rzekł Cinna, widząc smutek, który odbił się na jego twarzy.

— Czas jest w usługach śmierci, nie życia,—odpowiedziała zwolna.

I znowu nastało milczenie, naokół migotały ciągle złote plamki; szarańcze sykały jeszcze głośniej, a ze szpar skalnych powysuwały się na głazy małe jaszczurki, szukając miejsc słonecznych.

Cinna spoglądał kiedy niekiedy na Anteę, i po raz tysiączny przelatywały mu przez głowę rozpaczliwe myśli, że wszystkie środki ratunku wyczerpane, że niema ani iskry nadziei, i że wkrótce ta kochana postać stanie się tylko cieniem znikomym i garstką prochu w kolumbaryum.

Teraz już, leżąc z przymkniętemi oczyma, w przybranej kwieciem lektyce, wyglądała, jak martwa.

— Pójdę i ja za tobą! — powtarzał sobie w duchu Cinna.

Wtem w oddali dały się słyszeć czyjeś kroki. Twarz Antei stała się natychmiast blada, jak kreda, wpół otwarte jej usta oddychały pośpiesznie, pierś poczęła się podnosić szybkim ruchem. Nieszczęsna męczennica była pewna, że to ów orszak niewidzialnych istot, poprzedzający zjawienie się trupa o szkla-

nych oczach, zbliża się ku niej. Lecz Cinna, chwyciwszy jej ręce, począł ją uspokajać:

— Anteo, nie lękaj się, te kroki słyszę i ja.

A po chwili dodał:

— To Pontius przychodzi do nas.

Rzeczywiście na zakręcie ścieżki ukazał się prokurator, w towarzystwie dwóch niewolników. Był to niemłody człowiek, o twarzy okrągłej, wygolonej starannie, pełnej sztucznej powagi, a zarazem troski i zmęczenia.

— Pozdrowienie ci, szlachetny Cinno, i tobie, boska Anteo! — rzekł, wchodząc pod cień pistacyi. — Otóż po zimnej nocy dzień uczynił się znojny: oby był pomyślny dla was obojga, i oby zdrowie Antei zakwitło, jako te hiacynty i te gałązki jabłoni, które zdobią jej lektykę.

— Pokój z tobą i witaj! — odrzekł Cinna.

Prokurator, siadłszy na odłamie skały, popatrzał na Anteę, zmarszczył nieznacznie brwi — i ozwał się:

— Samotność rodzi smutek i chorobę, a wśród tłumów niema miejsca na przestrach, więc dam wam jedną radę. Na nieszczęście, tu nie Antyochia ani Cezarea, niema tu igrzysk i wyścigów, a gdyby cyrk stanął, toby go ci zapaleńcy zburzyli na drugi dzień.

Tu słyszysz tylko słowo: „zakon“ — a temu „zakonowi“ wszystko zawadza. Wolałbym być w Scytyi, niż tu...

— O czem chcesz mówić, Piłacie?

— Istotnie odszedłem od rzeczy. Ale to troski tego powodem. Mówiłem, że wśród tłumów niema miejsca na strach. Otóż, możecie dziś mieć widowisko. W Jerozolimie trzeba się byle czem zadowalać, przedewszystkiem zaś trzeba, żeby w południe Antea była wśród tłumów. Dziś umrze na krzyżu trzech ludzi. Lepsze to, niż nic. Przytem z powodu Paschy, napłynęła do miasta zgraja najdziwaczniejszych drapichróstów z całego tego kraju. Możecie się przypatrzyć temu ludowi. Każę wam dać wyborne miejsce w pobliżu krzyżów. Mam nadzieję, że skarani będą umierali odważnie. Jeden z nich, dziwny człowiek: powiada się być Synem Bożym, jest słodki, jak gołąb, i naprawdę nie popełnił nic takiego, przez coby zasłużył na śmierć.

— I skazałeś go na krzyż?

— Chciałem się zbyć kłopotu, a zarazem nie poruszać tego gniazda os, które brzęczą naokół świątyni. Oni i tak ślą na mnie skargi do Rzymu. Zresztą, przecie nie o obywatela rzymskiego chodzi.

— Ów człowiek nie będzie dlatego mniej cierpiał.

Prokurator nie odpowiedział — i po chwili począł mówić, jakby do siebie:

— Jedna jest rzecz, której nie znoszę, to przesada. Kto przy mnie wymówi ten wyraz, odbiera mi wesołość na cały dzień. Złoty środek! oto czego, według mnie roztropność nakazuje się trzymać. A niema kąta na świecie, w którymby tej zasady trzymano się mniej niż tu. Jak mnie to wszystko męczy! jak mnie męczy! W niczem spokoju, w niczem równowagi... ani w ludziach, ani w przyrodzie... Teraz naprzykład wiosna, noce chłodne — a we dnie taki żar, że po kamieniach stąpać trudno. Do południa jeszcze daleko, a patrzcie — co się dzieje! Co zaś do ludzi — lepiej nie mówić! Jestem tu, bo muszę. Mniejsza o to! Znowubym odszedł od rzeczy. Idźcie zobaczyć ukrzyżowanie. Jestem pewien, że ów Nazarejczyk będzie umierał odważnie. Kazałem go chłostać, myśląc, że tym sposobem ochronię go od śmierci. Nie jestem okrutnikiem. Gdy go bito, cierpliwy był, jak jagnię, i błogosławił ludziom. Gdy spłynął krwią, wzniósł oczy do góry i modlił się. To najdziwniejszy człowiek, jakiego w życiu widziałem. Żona nie dała mi z jego powodu

ni chwili spokoju: „Nie dopuść śmierci niewinnego!“ — oto, co od świtu kładła mi w uszy. Chciałem. Dwukrotnie wstępowałem na bimę i przemawiałem do tych zaciekłych kapłanów i do tej parszywej tłuszczy. Odpowiadali mi jednym głosem, przewracając w tył głowy i rozdzierając szczęki aż do uszu: „Ukrzyżuj!“

— Ty zaś ustąpiłeś? — rzekł Cinna.

— Bo w mieście byłyby rozruchy, a jam tu od tego, by utrzymać spokój. Muszę spełniać mój obowiązek. Nie lubię przesady i przytem jestem zmęczony śmiertelnie, ale gdy się raz czegoś podejmę, nie zawaham się poświęcić dla ogólnego dobra życia jednego człowieka, zwłaszcza, jeśli to jest człowiek nieznany, o którego nikt się nie upomni. Tem gorzej dla niego, że nie jest Rzymianinem.

— Słońce nie tylko nad Rzymem świeci, — szepnęła Antea.

— Boska Anteo — odparł prokurator, — mógłbym ci odpowiedzieć, że na całym okręgu ziemi przyświeca ono rzymskiej władzy, zatem dla jej dobra wszystko należy poświęcić, a rozruchy podkopują naszą powagę. Ale przedewszystkiem błagam cię: nie żądaj ode mnie, bym zmienił wyrok. Cinna

także ci powie, że to nie może być, i że gdy wyrok raz wydany, chyba sam Cezar mógłby go zmienić. Ja, choćbym chciał — nie mogę. Nie prawda, Kaju?

— Tak jest.

Lecz Antei słowa te sprawiły widoczną przykrość, rzekła bowiem, myśląc może o sobie:

— Tak więc można cierpieć i umrzeć bez winy.

— Nikt nie jest bez winy — odpowiedział Pontius. — Ów Nazarejczyk nie popełnił żadnej zbrodni, więc też, jako prokurator, umyłem ręce. Ale jako człowiek, potępiam jego naukę. Rozmawiałem z nim umyślnie dość długo, chcąc go wybadać, i przekonałem się, że głosi rzeczy niesłychane. To trudno! Świat musi stać na rozsądku. Któż przeczy, że cnota jest potrzebną?... Pewnie, nie ja. Ale nawet stoicy uczą tylko, by przeciwności znosić z pogodą, nie wymagają zaś, by się wyrzec wszystkiego, począwszy od majątku aż do obiadu. Powiedz, Cinno — ty jesteś rozsądny człowiek — cobyś o mnie pomyślał, gdybym ten dom, w którym mieszkacie, oddał ni z tego ni z owego tym oto obdartusom, którzy tam wygrzewają się na słońcu, przy Jopejskiej bramie? A on właśnie takich rzeczy wymaga. Głosi przytem, że wszystkich należy równo kochać:

Żydów tak samo jak Rzymian, Rzymian jak Egipcyan, Egipcyan jak Afrów i tak dalej. Przyznam się, że miałem tego dosyć. W chwili gdy idzie o jego życie, zachowuje się, jakby szło o kogo innego, naucza—i modli się. Nie mam obowiązku ratować kogoś, co sam o to nie dba. Kto nie umie w niczem miary zachować, nie jest człowiekiem roztropnym. Przytem on zowie się Synem Bożym i burzy zasady, na których świat się wspiera, a zatem szkodzi ludziom. Niech sobie w duszy co chce myśli—byle nie burzył. Jako człowiek, protestuję przeciw jego nauce. Jeśli ja nie wierzę, dajmy na to, w bogi, to moja rzecz. Jednakże uznaję potrzebę religii i publicznie to głoszę, albowiem sądzę, że dla ludzi religia jest wędzidłem. Konie muszą być zaprzężone i dobrze zaprzężone. Zresztą takiemu Nazarejczykowi śmierć nie powinna być straszna, twierdzi bowiem, że zmartwychwstanie.

Cinna i Antea spojrzeli na siebie ze zdziwieniem.

— Że zmartwychwstanie?

— Ni mniej, ni więcej; po trzech dniach. Tak przynajmniej głoszą jego uczniowie. Samego zapomniałam zapytać. Wreszcie to wszystko jedno, bo śmierć uwalnia od obietnic. A gdyby i nie

zmartwychwstał, nic na tem nie straci, gdyż wedle jego nauki, prawdziwe szczęście, wraz z życiem wiecznem, zaczyna się dopiero po śmierci. Mówi o tem istotnie, jak człowiek zupełnie pewny. W jego Hadesie widniej, niż w podsłonecznym świecie, a im kto więcej tu cierpi, tem pewniej tam wejdzie; powinien tylko kochać, kochać i kochać.

— Dziwna nauka — rzekła Antea.

— I tamci wołali na cię: „Ukrzyżuj!“ — spytał Cinna.

— I nawet się nie dziwię. Duszą tego ludu jest nienawiść, któż zaś, jeśli nie nienawiść ma wołać o krzyż dla miłości?

Antea potarła czoło wychudłą ręką:

— I On jest pewien, że można żyć i być szczęśliwym — po śmierci?

— Dlatego nie straszy go krzyż, ni śmierć.

— Jakby to było dobrze, Cinno!...

Po chwili znów spytała:

— Skąd On wie o tem?

Prokurator machnął ręką:

— Powiada, że to wie od Ojca wszystkich ludzi, który dla Żydów jest tem, czem dla nas Jowisz,

z tą różnicą, że według Nazarejczyka, jest On jeden, jedyny i miłosierny.

— Jakby to było dobrze, Kaju! — powtórzyła chora.

Cinna otworzył usta, jakby chciał coś odpowiedzieć, ale umilkł—i rozmowa ustała. Pontius rozmyślał widocznie w dalszym ciągu nad dziwaczną nauką Nazarejczyka, albowiem kręcił głową i wzruszał co chwila ramionami. Wreszcie wstał i począł się żegnać.

Nagle Antea rzekła:

— Kaju, pójdźmy zobaczyć tego Nazarejczyka.

— Śpieszcie się—rzekł odchodząc Piłat,—pochód wkrótce wyruszy.

VII.

Dzień od rana znojny i pogodny, począł się około południa zachmurzać. Od północo-wschodu napływały obłoki ciemne lub miedziane, niezbyt rozległe,

ale zawalne, jakby brzemienne burzą. Między nimi widać było jeszcze głęboki błękit, ale łatwo było przewidzieć, że wkrótce zbiegną się i przesłonią cały niebieski widnokrąg. Tymczasem słońce obrzucało ich zręby ogniem i złotem. Nad samem miastem i przyległemi wzgórzami rozciągał się jeszcze szeroki szmat pogodnego nieba, i na dole nie było żadnego wiatru.

Na wysokiej płaszczyźnie, zwanej Golgotą, stały już tu i owdzie małe gromadki ludzi, które uprzedziły pochód, mający wyruszyć z miasta. Słońce rozświecało szerokie kamienne przestrzenie, puste, jałowe i smutne. Jednostajną perłową ich barwę przerywała tylko czarna sieć rozpadlin i załamań, tem czarniejsza, im bardziej sama płaszczyzna była zalana światłem. W dali widać było wynioślejsze wzgórza, równie puste, przysłonione błękitną mgłą oddalenia.

Niżej, między murami miasta a płaskowzgórzem Golgoty, leżała równina, spiętrzona gdzieniegdzie skałami, mniej pusta. Tam ze szczelin, w których zebrało się nieco urodzajnej ziemi, wyglądały figi o liściu rzadkim i ubogim. Tu i owdzie wznosiły się budowle o płaskich dachach, poprzylepiane na-

kształt gniazd jaskółczych do kamiennych ścian, lub świecąc zdala w słońcu, biało malowane groby. Obecnie, z powodu blizkich świąt i napływu mieszkańców prowincyi do miasta, powznoszono bliżej murów mnóstwo szałasów i namiotów, które tworzyły całe obozowiska, pełne ludzi i wielbłądów.

Słońce wznosiło się coraz wyżej na niepokrytej dotąd chmurami przestrzeni nieba. Zbliżały się godziny, w których zazwyczaj panowało na tych wyżynach głuche milczenie, wszelkie bowiem żywe istoty szukały ochrony w murach lub rozpadlinach. A nawet i obecnie, mimo niezwykłego ożywienia, tkwił jakiś smutek w tej okolicy, w której olśniewający blask padał nie na zieleń, ale na szare rozłogi kamienne. Gwar dalekich głosów, dochodzący od strony murów, zmieniał się jakby w szmer fali i zdawał się być pochłanianym przez ciszę.

Pojedyńcze gromadki ludzi, wyczekujące od rana na Golgocie, zwracały głowy ku miastu, skąd pochód miał lada chwila wyruszyć. Lektyka z Anteą nadeszła, poprzedzana przez kilku żołnierzy, dodanych przez prokuratora, którzy mieli torować drogę wśród ścisku, a w danym razie powstrzymać nienawidzące cudzoziemców i fanatyczne tłumy od

zniewag. Obok lektyki postępował Cinna w towarzystwie setnika Rufila.

Antea była jakby spokojniejsza i mniej przerażona tem, że zbliżało się południe, a zarazem groźba strasznych widzeń, które wysysały z niej życie. To, co prokurator mówił o młodym Nazarejczyku, porwało jej umysł i odwróciło uwagę od własnej nędzy. Było bowiem dla niej w tem coś dziwnego, czego prawie nie umiała zrozumieć. Świat ówczesny widział wielu ludzi, którzy umierali tak spokojnie, jak gaśnie stos pogrzebowy, w którym drwa się wypalą. Ale był to spokój, płynący z odwagi lub z filozoficznej zgody na nieubłaganą konieczność, zamiany światła na ciemność, rzeczywistego życia na jakiś byt mglisty, nikły i nieokreślony. Nikt nie błogosławił dotąd śmierci, nikt nie umierał z niezachwianą pewnością, że dopiero poza stosem lub grobem zaczyna się prawdziwe istnienie i szczęście tak potężne i nieskończone, jakie tylko istota wszechmocna i nieskończona dać może.

Ów zaś, którego miano ukrzyżować, głosił to, jako niewątpliwą prawdę. Anteę nietylko uderzyła ta nauka, ale wydała się jej jedynem źródłem otuchy i nadziei. Wiedziała, że musi umrzeć — i zdejmo-

wał ją żal niezmierny. Czemże bowiem była dla niej śmierć? Oto porzuceniem Cinny, porzuceniem ojca, porzuceniem świata, kochania, pustką, zimnem, nawpół nicością, mrokiem. Więc im lepiej mogło być jej w życiu, tem jej żal musiał być większy. Gdyby śmierć mogła się na coś przydać, albo gdyby można wziąć z sobą choć wspomnienie z miłości, choć pamięć szczęścia — prędzejby zdobyła się na rezygnacyę.

Wtem, nie spodziewając się od śmierci niczego, usłyszała nagle, że ona może jej dać wszystko. I kto to głosił? Jakiś dziwny człowiek, nauczyciel, prorok, filozof, który nakazywał ludziom miłość, jako najwyższą cnotę, który błogostawił im w chwili chłosty i którego miano ukrzyżować. Więc Antea myślała: „Dlaczego tak nauczał, skoro krzyż Mu jedyną zapłatą? Inni pragnęli władzy—On jej nie chciał, inni mienia — On pozostał ubogim; inni pałaców, uczt, zbytków, purpurowej odzieży, wykładanych perłowcem i kością słoniową wozów — On żył, jak pasterz. Przytem zalecał miłość, litość, ubóstwo, nie mógł więc być złym i łudzić umyślnie ludzi. Jeżeli zaś mówił prawdę, — w takim razie niech będzie błogosławiona śmierć, jako koniec

ziemskiej nędzy, jako zmiana gorszego szczęścia na lepsze, jako światło dla gasnących oczu i jako skrzydła, któremi się odlatuje w wieczystą radość!“ Teraz Antea zrozumiała, co znaczyła zapowiedź zmartwychpowstania.

Umysł i serce biednej chorej przylgnęły całą siłą do tej nauki. Przypomniała sobie też słowa ojca, który niejednokrotnie powtarzał, że tylko jakaś nowa prawda może wydobyć umęczoną duszę ludzką z pomroki i więzów. A oto była nowa prawda! Zwyciężyła ona śmierć, więc niosła zbawienie. Antea utonęła tak całą swą istotą w tych myślach, że od wielu i wielu dni Cinna po raz pierwszy nie dostrzegł w tej twarzy trwogi przed nadchodzącą południową godziną.

Pochód ruszył wreszcie z miasta ku Golgocie — i z wyżyny, na której stała Antea, widać go było doskonale. Tłum był znaczny, ale jednak zdawał się ginąć na tych obszarach kamiennych. Z otwartej bramy miasta wysypywało się coraz więcej ludzi, a po drodze przyłączali się do nich ci, którzy oczekiwali za murami. Szli początkowo długim korowodem, który rozlewał się, jak wezbrana rzeka, w miarę, jak postępowali naprzód. Po bokach uga-

niały się roje dzieci. Pochód mienił się i pstrzył od białych opończy, od szkarłatnych i błękitnych chust kobiecych. W środku połyskiwały zbroje i dzidy żołnierzy rzymskich, na które blask słoneczny rzucał jakby latające promienie. Wrzawa zmieszanych głosów dochodziła zdaleka i stawała się coraz wyraźniejszą.

Nakoniec zbliżyli się zupełnie — i pierwsze szeregi poczęły występować na wzniesienie. Tłum śpieszył się, by zająć najbliższe miejsca i widzieć jak najdokładniej mękę, skutkiem czego oddział żołnierzy, prowadzący skazanych, pozostawał coraz bardziej z tyłu pochodu. Pierwsze przybyły dzieci, przeważnie chłopcy, pół nadzy, poprzewiązywani szmatami w biodrach, z wystrzyżonemi głowami, prócz dwóch pęków włosów przy skroniach, — smagli, o źrenicach prawie błękitnych i wrzaskliwej mowie. Wśród dzikiej wrzawy poczęli oni wydrapywać ze szczelin zwietrzałe okruchy skalne, któremi chcieli rzucać na ukrzyżowanych. Tuż po nich wzniesienie zaroiło się od różnorakiej tłuszczy. Twarze były po największej części rozpalone ruchem i nadzieją widowiska. Na żadnej nie było śladu litości. Krzykliwość głosów, niezmierna ilość słów wyrzucanych

przez każde usta, nagłość ruchów dziwiła Anteę, jakkolwiek przywykłą w Aleksandryi do gadatliwej żywości greckiej. Ludzie rozmawiali tu z sobą, jakby się chcieli na siebie rzucić; nawoływali się, jakby szło o ich ratunek, spierali się, jakby ich odzierano ze skóry.

Centuryon Rufilus, zbliżywszy się do lektyki, dawał wyjaśnienia głosem spokojnym, służbowym, a tymczasem z miasta napływały coraz nowe fale. Ścisk powiększał się z każdą chwilą. W tłumie widać było zamożnych mieszkańców Jerozolimy, przybranych w pasiaste opończe, trzymających się zdala od nędznej hołoty z przedmieść. Napłynęli licznie i wieśniacy, których święta sprowadziły wraz z rodzinami do miasta; rolnicy, poprzepasywani workami i pasterze, o twarzach dobrotliwych i zdziwionych, przybrani w skóry kozie. Tłumy kobiet ciągnęły razem z mężczyznami, lecz że możniejsze mieszczanki nierade wychodziły z domów, były to przeważnie kobiety z ludu, wieśniaczki, lub przybrane jaskrawo ulicznice, o farbowanych włosach, brwiach i paznogciach, pachnące zdaleka nardem, z olbrzymiemi zausznicami i w naszyjnikach z monet.

Nadciągnął wreszcie i Sanhedryn—a wśród niego

Hanaan, starzec z twarzą sępa i z oczyma w krwawych obwódkach, oraz ociężały Kajafa, przybrany w dwurożną czapkę, z pozłocistą tablicą na piersiach. Razem z nimi szli różni faryzeusze, jako to: *wlokący nogi*, którzy umyślnie potrącali stopami o wszystkie przeszkody, faryzeusze o *krwawych czołach*, również umyślnie rozbijający je o mury, i faryzeusze *zgarbieni*, niby gotowi do przyjęcia ciężaru grzechów całego miasta na swe ramiona. Posępna powaga i zimna zaciekłość różniła ich od zgiełkliwej zgrai pospolitego ludu.

Cinna przyglądał się tej ciżbie ludzkiej z chłodną i pogardliwą twarzą człowieka, należącego do rasy panującej, Antea — ze zdziwieniem i obawą. Wielu Żydów zamieszkiwało Aleksandryę, ale tam byli oni nawpół Hellenami, tu zaś po raz pierwszy widziała ich takimi, jakimi przedstawiał ich prokurator i jakimi byli w swem własnem gnieździe. Jej młoda twarz, na której śmierć wycisnęła już swe piętno, jej do cienia podobna postać, zwracały powszechną uwagę. Przypatrywano jej się natrętnie, o ile pozwalali na to otaczający lektykę żołnierze; tak wielką była jednak tu pogarda i nienawiść dla obcych, że w żadnych oczach nie było widać współ-

czucia, raczej połyskiwała w nich radość, że ofiara nie ujdzie śmierci. Antea teraz dopiero zrozumiała dokładnie, dlaczego ci ludzie wołali o krzyż dla proroka, który opowiadał miłość.

I ów Nazarejczyk wydał jej się nagle kimś tak blizkim, że niemal drogim. On musiał umrzeć — i ona również. Jego, po wydanym wyroku, już nic nie mogło ocalić — i na nią wyrok zapadł — więc zdawało się Antei, że ich połączyło braterstwo niedoli i śmierci. Tylko On szedł na krzyż z wiarą w pośmiertne jutro, ona tej wiary dotąd nie miała i przyszła jej zaczerpnąć w Jego widoku.

Tymczasem zdala rozległa się wrzawa, świst, wycie, poczem wszystko ucichło. Dał się słyszeć chrzęst zbroi i ciężki krok legionistów. Tłumy zakołysały się, rozstąpiły, i oddział prowadzący skazanych, począł przesuwać się koło lektyki. Z przodu, po bokach i z tyłu szli równym i powolnym krokiem żołnierze, w środku widać było trzy przecznice krzyżów, które zdawały się same postępować, nieśli je bowiem ludzie zgarbieni pod ciężarem. Łatwo było odgadnąć, że między tymi trzema niema Nazarejczyka, dwaj bowiem mieli bezczelne twarze opryszków, trzecim był niemłody prosty wieśniak,

którego widocznie żołnierze zmusili do zastępstwa. Nazarejczyk szedł za krzyżami, mając blizko za sobą dwóch żołnierzy. Szedł w narzuconym na wierzch odzienia purpurowym płaszczu i w cierniowej koronie, z pod której kolców wydobywały się krople krwi. Jedne ściekały mu zwolna po twarzy, inne skrzepły tuż pod koroną, w kształt jagód dzikiej róży, lub koralowych paciorków. Blady był, posuwał się zwolna chwiejnym, osłabionym krokiem. Szedł wśród urągowiska ciżby, jakby w zaświatowem zamyśleniu pogrążony, jakby oderwany już od ziemi, jakby niebaczny na okrzyki nienawiści, lub jakby nad miarę ludzkich przebaczań przebaczający i nad miarę ludzkiej litości litościwy, bo już nieskończonością ogarnięty, już nad ludzkie złoto wyniesiony, cichy bardzo, słodki i tylko ogromem smutku całej ziemi smutny.

— Prawdą jesteś, — wyszeptała drżącemi ustami Antea.

Orszak przesuwał się teraz tuż koło lektyki. Była nawet chwila, że się zatrzymał, podczas gdy idący na przedzie żołnierze oczyszczali z ciżby drogę Antea widziała teraz Nazarejczyka o kilka kroków; widziała, jak powiew poruszał zwoje Jego włosów

widziała czerwonawy odblask, padający od płaszcza Jego na wybladłą i przezroczystą twarz. Tłuszcza, rwąc się ku Niemu, otoczyła teraz ciasnem półkolem żołnierzy, tak, że musieli uczynić z włóczni zaporę, by Go bronić przed jej wściekłością. Wszędy widać było wyciągnięte ramiona z zaciśniętemi pięściami, oczy wychodzące z powiek, połyskujące zęby, brody rozchwiane od wściekłych ruchów i usta w pianie, wyrzucające chrapliwe okrzyki. On zaś, spojrzawszy na okół, jakby się chciał spytać: „Com wam uczynił?“ — podniósł następnie oczy ku niebu i modlił się — i przebaczał.

— Anteo! Anteo! — zawołał w tej chwili Cinna.

Lecz Antea zdawała się nie słyszeć tego wołania. Z oczu płynęły jej wielkie łzy, zapomniała o chorobie, zapomniała, że już od wielu dni nie podnosiła się z lektyki, i powstawszy nagle drżąca, nawpół przytomna z żalu, litości i z oburzenia na ślepe okrzyki ciżby, poczęła chwytać hiacynty i kwiat jabłoni i rzucać pod stopy Nazarejczyka.

Na chwilę uczyniło się cicho. Tłum ogarnęło podziwienie na widok tej dostojnej Rzymianki, oddającej cześć Skazanemu. On zwrócił oczy na jej biedną chorą twarz, i usta jego poczęły się poruszać,

jakby ją błogosławił. Antea, opadłszy znów na poduszki lektyki, czuła, że spływa na nią morze światła, dobroci, miłosierdzia, otuchy, nadziei, szczęścia, i wyszeptała znowu:

— Tyś jest Prawdą.

Potem nowa fala łez napłynęła jej do oczu.

Lecz Jego popchnięto naprzód, na odległe o kilkadziesiąt kroków od lektyki miejsce, na którem stały już wbite w rozpadliny skał słupy krzyżów. Tłum przesłonił go znowu, lecz że miejsce owo było znacznie wyniesione, Antea ujrzała znów niebawem Jego bladą twarz i cierniową koronę. Legioniści zwrócili się raz jeszcze ku tłuszczy i odegnali ją kijami dość daleko, by nie przeszkadzała egzekucyi. Poczęto teraz przywiązywać dwóch opryszków do bocznych krzyżów. Trzeci krzyż stał w pośrodku z białą kartą, przybitą ćwiekiem na wierzchołku, którą podnosił i szarpał wzmagający się coraz wiatr. Gdy żołnierze, zbliżywszy się wreszcie do Nazarejczyka, jęli Go rozbierać z odzieży, w tłumie zagrzmiały okrzyki: „Król, król! nie daj się, królu! gdzie twoje zastępy? broń się!“ Chwilami wybuchał śmiech, który porywał tłuszczę, tak, że nagle cała kamienna wyżyna rozbrzmiewała jednym chy-

chotem. Jego tymczasem rozciągnięto nawznak na ziemi, aby Mu ręce przybić do przecznicy krzyża, potem zaś podciągnąć Go, wraz z nią, na słup główny.

Wtem jakiś człowiek, stojący niedaleko lektyki i przybrany w białą simarę, rzucił się nagle na ziemię, zgarnął na głowę pył i okruchy kamienne i począł krzyczeć okropnym, pełnym rozpaczy głosem:

— Byłem trędowaty — uzdrowił mnie — przecz Go krzyżują!?

Antei twarz zbielała jak chusta.

— On go uzdrowił... słyszysz, Kaju? — rzekła.

— Czy chcesz wrócić? — spytał Cinna.

— Nie! Tu zostanę!

A Cinnę ogarnęła, jak wicher, dzika i bezbrzeżna rozpacz, że nie wezwał Nazarejczyka do swego domu, by mu uzdrowił Anteę.

Ale w tej chwili, żołnierze przyłożywszy ćwieki do Jego rąk, poczęli w nie uderzać. Dał się słyszeć tępy szczęk żelaza o żelazo, który wnet zmienił się w donioślej brzmiący rozgłos, gdy ostrza gwoździ przeszedłszy przez ciało, zagłębiły się w drzewo. Tłumy uciszyły się znów, prawdopodobnie dla

tego, by napawać się krzykami, jakie męczarnia mogła wydrzeć z ust Nazarejczyka. Ale On pozostał cichy, i na wyżynie rozlegały się tylko złowrogie i straszne uderzenia młotów.

Wreszcie skończono robotę i przecznicę wraz z ciałem podciągnięto ku górze. Pilnujący roboty setnik wymawiał, a raczej śpiewał jednostajnym głosem słowa komendy, wedle której jeden z żołnierzy począł następnie przygważdżać nogi.

Tymczasem owe obłoki, które od rana wytaczały się na widnokrąg, przysłoniły słońce. Odległe wzgórza i skały, świecące w blasku, zgasły. Świat zmierzchł. Złowrogi, miedziany mrok ogarnął okolicę, i w miarę, jak słońce zasuwało się głębiej za zwały chmur, gęstniał coraz bardziej. Rzekłbyś, że ktoś z góry przesiewał na ziemię czerwonawą ciemność. Gorący wiatr uderzył raz i drugi, potem ścichł. Powietrze stało się parne.

Nagle i owe resztki rudawych blasków zczerniały. Posępne, jak noc, chmury poczęły się przewracać i posuwać nakształt olbrzymiego wału ku wyżynie i miastu. Szła burza. Świat napełnił się niepokojem.

— Wracajmy! — rzekł znów Cinna.

— Jeszcze, jeszcze chcę Go widzieć! — odpowiedziała Antea.

Ponieważ mrok przesłonił wiszące ciała, Cinna kazał zanieść lektykę bliżej do miejsca męki. Przysunęli się tak blizko, że zaledwie kilka kroków dzieliło ich od krzyża. Na ciemnem drzewie widać było ciało Ukrzyżowanego, które w tem powszechnem zaćmieniu wydawało się jakby ze srebrnych promieni księżyca utkane. Pierś Jego podnosiła się szybkim oddechem. Głowę i oczy trzymał jeszcze zwrócone ku górze.

Wtem w głębiach chmur ozwał się głuchy pomruk. Grzmot zbudził się, wstał, przetoczył się ze straszliwym łoskotem od wschodu na zachód, a potem, jakby zapadał w bezdenne przepaści, odzywał się niżej i niżej, to cichnąc, to wzmagając się, w końcu huknął, jak grom, aż ziemia zatrzęsła się w posadach.

Jednocześnie olbrzymia sina błyskawica rozdarła chmury, rozświeciła niebo, ziemię, krzyże, zbroje żołnierzy i zbitą, jak stado owiec, tłuszczę niespokojną i trwożną.

Po błyskawicy zapadła jeszcze grubsza ciemność. W pobliżu lektyki ozwały się łkania jakichś kobiet,

które również zbliżyły się do krzyża. Było coś przerażającego w tem łkaniu wśród ciszy. Ci, którzy pogubili się w tłumie, poczęli się teraz nawoływać. Tu i owdzie ozwały się przerażone głosy:

— Ojah! oj lanu! zali nie Sprawiedliwego ukrzyżowano!?

— Który dawał świadectwo prawdzie! Ojah!

— Który wskrzeszał zmarłe. Ojah!

A inny głos zawołał:

— Biada ci, Jeruzalem!

Inny znów:

— Ziemia zadrżała!

Druga błyskawica odkryła głębie nieba i ukazała w nich jakby olbrzymie ogniste postaci. Głosy ucichły, a raczej zginęły w poświstach wichru, który zerwał się nagle z olbrzymią siłą, zdarł mnóstwo chust, opończy i począł rzucać niemi po wyżynie.

Głosy poczęły znów wołać:

— Ziemia zadrżała!

Niektórzy jęli uciekać. Innych trwoga przykuła do miejsca — i ci stali w osłupieniu, bez myśli, z tem mętnem wrażeniem tylko, że stało się coś straszliwego.

Lecz mrok począł nagle rudnąć. Wicher przewracał chmury, skręcał je i szarpał, jak zetlałe

szmaty. Jasność wzrastała stopniowo, nakoniec ciemny strop rozdarł się i przez szczelinę lunął nagle potok słonecznego światła: wnet rozwidniła się wyżyna, zalęknione twarze ludzkie i krzyże.

Głowa Nazarejczyka opadła nizko na piersi, blada jakby woskowa; powieki miał zamknięte i zsiniałe usta,

— Umarł — szepnęła Antea.

— Umarł — powtórzył Cinna.

W tej chwili centuryon sięgnął włócznią do boku zmarłego. Dziwna rzecz: powrót światła i widok tej śmierci zdawał się uspokajać tłumy. Przysuwały się one teraz coraz bliżej, zwłaszcza, że żołnierze nie bronili już przystępu. Wśród czerni ozwały się głosy:

— Zejdź z krzyża! zejdź z krzyża!

Antea raz jeszcze rzuciła oczyma na tę bladą, zwieszoną głowę, poczem ozwała się cicho, jakby sama do siebie:

— Zali zmartwychwstanie?...

W obec śmierci, kładnącej błękitne piętna na Jego oczy i usta, wobec tych wyciągniętych nad miarę ramion, w obec tego nieruchomego ciała, które

już osunęło się ku dołowi ciężarem rzeczy martwych, głos jej drgał rozpaczliwem zwątpieniem.

Niemniejsze zmartwienie targało i duszą Cinny. On również nie wierzył, że Nazarejczyk zmartwychwstanie, ale wierzył, że gdyby żył, On jeden mógłby złą lub dobrą swą mocą uzdrowić Anteę.

A tymczasem coraz liczniejsze głosy wołały naokół:

— Zejdź z krzyża! zejdź z krzyża!

— Zejdź — powtórzył z rozpaczą w duchu Cinna, — uzdrów mi ją, zabierz duszę moją!

Wypogadzało się coraz bardziej. Wzgórza były jeszcze we mgle, ale nad wyżyną i miastem niebo oczyściło się zupełnie. „Turris Antonia“ błyszczała w słońcu, jaśniejąc sama nakształt słońca. Powietrze uczyniło się świeże i rojne od jaskółek. Cinna dał rozkaz odwrotu.

Godzina była popołudniowa. W pobliżu domu Antea rzekła nagle:

— Hekate nie przyszła dziś.

Cinna także myślał o tem.

VIII.

Widmo nie ukazało się i nazajutrz. Chora była ożywiona niezwykle, albowiem przyjechał z Cezarei Tymon, który niespokojny o życie córki i przerażony listami Cinny, porzucił przed kilku dniami Aleksandryę, aby raz jeszcze zobaczyć przed śmiercią jedyne dziecko. Do serca Cinny poczęła znów kołatać nadzieja, jakby upominając się, by ją wpuścił. Lecz on nie śmiał odemknąć drzwi temu gościowi, nie śmiał się spodziewać. W widzeniach, które zabijały Anteę, bywały już przecie przerwy, wprawdzie nigdy dwudniowe, ale jednodniowe zdarzały się i w Aleksandryi, i na pustyni. Folgę obecną przypisywał Cinna przybyciu Tymona i wrażeniom z pod krzyża, które tak napełniły duszę chorej, że nawet z ojcem nie mogła o czem innem rozmawiać. Tymon słuchał też w skupieniu, nie przeczył, rozważał, — i tylko wypytywał starannie o naukę Nazarejczyka, o której Antea wiedziała zresztą tylko to, co jej powtórzył prokurator.

Czuła się jednak wogóle zdrowsza i nieco silniejsza, a gdy południe przeszło i minęło, w oczach jej zabłysła prawdziwa otucha. Kilkakrotnie nazwała ów dzień pomyślnym i prosiła męża, by go zapisał.

Dzień zaś był naprawdę smutny i posępny. Deszcz padał od rana, z początku bardzo obfity, potem drobny, siekący, z nizkich, jednostajnie rozciągniętych chmur. Dopiero wieczorem niebo przetarło się, i wielka ognista kula słoneczna wyjrzała z mgieł, umalowała purpurą i złotem chmury, szare opoki, biały marmur portyków willi i stoczyła się wśród niezmiernych blasków w stronę Śródziemnego morza.

Natomiast nazajutrz pogoda uczyniła się cudna. Dzień zapowiadał się znojny, ale ranek był świeży, niebo bez plamki, a ziemia tak zanurzona w błękitnej kąpieli, że wszystkie przedmioty wydawały się błękitne. Antea kazała się wynieść pod ulubioną pistacyę, aby z wyniosłości, na której stało drzewo, napawać się widokiem wesołej i modrej oddali. Cinna i Tymon nie odstępowali ani krokiem od lektyki, badając pilnie twarz chorej. Był w niej jakiś niepokój oczekiwania, ale nie było tego śmiertelnego przerażenia, jakie ogarniało ją poprzednio przed

nadejściem południa. Oczy jej rzucały blask żywszy, a policzki zakwitły słabym rumieńcem. Cinna naprawdę myślał teraz chwilami, że Antea może być uzdrowiona, i na tę myśl chciało mu się rzucić na ziemię, szlochać z radości i błogosławić bogów — to znów ogarniała go trwoga, że to jest może ostatni błysk gasnącej lampy. Chcąc zaczerpnąć skądkolwiek nadziei, spoglądał kiedy niekiedy na Tymona, lecz i temu podobne myśli musiały przechodzić przez głowę, gdyż unikał jego wzroku. Żadne z trojga nie wspomniało słowem, że południe się zbliża. Natomiast Cinna, rzucając co chwila oczyma na cienie, uważał z bijącem sercem, że stają się one coraz krótsze.

I siedzieli, jakby pogrążeni w zadumie. Może najmniej niespokojna była sama Antea. Leżąc w otwartej lektyce, z głową wspartą na purpurowej poduszce, oddychała z lubością czystem powietrzem, które powiew przynosił z zachodu, od dalekiego morza. Ale przed południem i ów powiew ustał. Upał stawał się większy; przygrzane słońcem czą-bry skał i krzaki nardu poczęły ronić woń mocną i upajającą. Nad kępkami anemonów kołysały się jasne motyle. Ze szpar skalnych małe jaszczurki,

które już przywykły do tej lektyki i do tych ludzi, wysuwały się, jak zwykle, jedna za drugą, ufne i zarazem na każdy ruch ostrożne. Świat cały koił się w świetlistej ciszy, w cieple, w pogodnej słodyczy i w błękitnem uśpieniu.

Tym on i Cinna zdawali się również zatapiać w tym słonecznym spokoju. Chora przymknęła oczy, jakby ją ogarniał lekki sen — i milczenia nie przerywało nic, prócz westchnień, które kiedy niekiedy podnosiły jej pierś.

A tymczasem Cinna zauważył, że cień jego stracił wydłużony kształt i leży mu tuż pod nogami.

Było południe.

Nagle Antea otworzyła oczy i ozwała się jakimś dziwnym głosem:

— Cinno, daj mi rękę.

On zerwał się, i wszystka krew ścięła mu się lodem w sercu: oto przychodziła godzina strasznych widzeń.

A jej oczy otwierały się coraz szerzej.

— Czy widzisz, — mówiła — jak tam światło zbiera się i związuje w powietrzu, jak drga, błyszczy i zbliża się ku mnie?

— Anteo! nie patrz tam! — krzyknął Cinna.

Lecz o dziwo! na jej obliczu nie było przerażenia. Rozchyliły się usta, oczy patrzały coraz szerzej — i jakaś niezmierna radość poczęła rozjaśniać jej twarz.

— Słup światła zbliża się ku mnie — mówiła dalej. — Widzę! To On, to Nazarejczyk!... Uśmiecha się... O słodki!... o miłościwy!... Ręce przebite wyciąga, jak matka, ku mnie. Cinno! On niesie mi zdrowie, zbawienie i wzywa mnie do siebie.

A Cinna pobladł bardzo i rzekł:

— Gdziekolwiek nas wzywa — pójdźmy za Nim!

W chwilę później, z drugiej strony, na kamiennej ścieżce, prowadzącej do miasta, zjawił się Pontius Pilatus. Nim się zbliżył, widać było z jego twarzy, że niesie jakąś nowinę, którą, jako rozsądny człowiek, uważa za nowy dziwaczny wymysł łatwowiernych i ciemnych tłumów. Jakoż zdaleka jeszcze począł wołać, ocierając pot z czoła:

— Wyobraźcie sobie, co ci znów rozpowiadają: że zmartwychwstał!

LISTY O ZOLI

(„Le docteur Pascal")

Chcesz, abym wypowiedział, co myślę o „Doktorze Pascalu“ Zoli i w ogóle o całym cyklu Rougon Macquartów. Może dlatego, że pochodzę ze społeczeństwa, w którem tyle sił idzie na marne, dość, że każde dzieło zamierzone i skończone przejmuje mnie rzetelnym szacunkiem i zarazem ma dla mnie jakiś dziwny i wyjątkowy urok. Ilekroć zdarzyło mi się podpisywać pod jakąkolwiek moją pracą to słowo „*Koniec*,“ tylekroć doznawałem jakby uczucia radości, nietylko z powodu skończonego trudu, nietylko ze względu na przyszłe możliwe powodzenie książki, ale równie z poczucia dokonanego czynu. Bo każda książka, to czyn—zły lub dobry, ale dokonany—cały zaś ich szereg, zwłaszcza napisany w imię jednej myśli przewodniej, to zadanie życia spełnione, to uroczy-

stość dożynek, podczas której przodownikowi służy prawo do wieńca i do pieśni: „Plon niesiem, plon!“

Ale oczywiście zasługa zależy od plonu. Zawód pisarski ma swoje kolce, o których się czytelnikom nie śniło. Chłop, zwożący snopy do stodoły, ma tę zupełną pewność, że zwozi pszenicę, żyto, jęczmień lub grykę, które pójdą ludziom na zdrowie. Autor, w najlepszej nawet wierze piszący, może mieć chwile zwątpienia: czy zamiast chleba, nie dawał trucizny? czy dzieło jego nie jest jedną wielką pomyłką lub jedną wielką winą? czy wyszło ludziom na dobre? czyby nie lepiej było i dla nich i dla niego samego, gdyby był niczego nie dokonał, nic nie napisał i zmarniał?

Wątpliwości są wrogiem ludzkiego spokoju, ale zarazem i filtrem, który nie przepuszcza mętnego osadu. Źle, gdy ich jest za wiele, źle, gdy za mało; w pierwszym razie ginie zdolność do czynu, w drugim sumienie. Stąd odwieczna, jak ludzkość, potrzeba regulatora z zewnątrz.

Lecz francuscy pisarze odznaczali się zawsze nieporównanie większą bezwzględnością od innych, ów zaś regulator, którym gdzieindziej bywała religia, przestał dla nich istnieć oddawna. Zdarzały

się zapewne wyjątki. Balzac twierdził, że zadaniem jego było służyć religii i monarchii. Lecz nawet dzieła tych, którzy wygłaszali podobne zasady, nie bywały z niemi zgodne. Możnaby powiedzieć, że tak podobało się rozumieć swoją działalność autorom, ogół zaś czytający mógł ją rozumieć i częstokroć rozumiał, jako negacyę zasad społecznych, religijnych, etycznych. W ostatniej jednak epoce podobne nieporozumienie stało się niemożliwem, autorowie bowiem otwarcie zaczęli występować albo w imię własnych osobistych przekonań, nie liczących się z niczem i wprost przeciwnych podstawom i węzłom społecznym, albo z objektywną analizą, która w rozbiorze życia notuje zło i dobro, jako objawy zarówno konieczne i zarówno usprawiedliwione. Francyę, a przez Francyę i resztę Europy, jęła zalewać powódź książek, pisanych z tak lekkiem sercem, tak bezwzględnie i zuchwale, tak nie liczących się z żadną odpowiedzialnością wobec ludzi, że nawet tych, którzy przyjmowali je również bez skrupułu, poczęło ogarniać zdziwienie. Zdawało się, iż każdy autor wysadza się na to, by pójść dalej nawet, niż się po nim spodziewano. W ten sposób dochodziło się do nazwy śmiałego myśliciela

i oryginalnego artysty. Zuchwałość w poruszaniu przedmiotów i w sposobie przedstawiania ich zdawała się być najcenniejszym przymiotem pisarza. Przyszła do tego zła wiara lub nieświadome oszukiwanie siebie i drugich.—Analiza! Analizowano w imię prawdy, która niby musi i ma prawo być wypowiedzianą, wszystko, lecz przeważnie zło, brudy, ludzką zgniliznę i ohydę. Nie spostrzeżono się, że ta pseudo-analiza przestaje być objektywnym rozbiorem, a staje się chorobliwem zamiłowaniem w rzeczach zgniłych, wypływających z dwóch przyczyn: naprzód z zepsucia smaku, powtóre z większej łatwości wytwarzania efektów jaskrawych. Skorzystano z tej fizyologicznej właściwości zmysłów, na mocy której wrażenia wstrętne wydają nam się silniejsze i rzeczywistsze, niż przyjemne—i nadużyto tej właściwości bez miary. Wytworzyło się pewnego rodzaju komiwojażerstwo w zgniliznie, przy prędkiem bowiem zużywaniu przedmiotów, chodziło o to, by wynaleźć coś nowego, coby jeszcze mogło targnąć. Sama prawda, w której imię to się działo, poszła wobec tych wymagań w kąt. Znasz „La Terre“ Zoli? Ma w tem być obraz wsi francuskiej. Przypomnij sobie jakąkolwiek francuską lub inną. Co to razem

jest?—oto zbiór chat, drzew, pól ornych, łanów zboża, kwiatów polnych, ludzi, trzód, światła, błękitu, śpiewów, małych interesów zaściankowych i pracy. W tem wszystkiem bez wątpienia nawóz odgrywa niemałą rolę, ale jest jeszcze coś poza nim i obok niego. Tymczasem wieś Zoli wygląda tak, jakby się składała wyłącznie z gnoju i zbrodni. I oto obraz jest fałszywy, prawda skrzywiona, gdyż w naturze prawdziwy stosunek rzeczy jest inny. Gdyby ktoś zadał sobie trud ułożenia listy kobiet, występujących w powieści francuskiej, przekonałby się, że przynajmniej dziewięćdziesiąt pięć procent jest upadłych. Tymczasem w społeczeństwie tak nie jest i być nie może. Prawdopodobnie nie było nigdy takiego stosunku nawet w tych krajach, w których ongi czczono Astartę. A jednak autorowie chcą w nas wmówić, że dają prawdziwy obraz społeczeństwa i że ich obyczajowa analiza jest objektywną. Kłamstwo, przesada, lubowanie się w rzeczach zgniłych—oto dokładny obraz beletrystycznego żniwa czasów ostatnich. Nie wiem, co na tem zyskała literatura, ale wiem, że dyabeł nic nie stracił, płynęła bowiem tą drogą cała rzeka błota i trucizny, a zmysł moralny tak tępiał, że w końcu począł łatwo znosić

takie książki, które kilka dziesiątków lat temu zaprowadziłyby autora przed sąd. Dziś wierzyć się nie chce, że niegdyś „Madame Bovary“ naraziła autora na dwukrotny proces. Gdyby była napisana we dwadzieścia lat później, uznanoby ją zazbyt skromną.

Lecz duch ludzki, który nie zasypia, i organizm, który chce żyć, nie znoszą nadmiaru trucizn. Przyszła wreszcie chwila na czkawkę obrzydzenia. Poczynają się obecnie podnosić głosy, wołające o inny chleb umysłowy; rodzi się instyktowe poczucie, że tak dalej iść nie może, że trzeba się podnieść, otrząsnąć z błota, oczyścić, zmienić. Ludzie wołają o świeży powiew. Ogół nie umie powiedzieć, czego chce, ale wie, czego nie chce, wie, że oddychał miazmatami i że mu duszno. Niepokój ogarnia umysły. W tej samej Francyi czegoś się szuka i o coś woła. Poczyna się jakaś głucha protestacya przeciw panującemu stanowi rzeczy. Wielu pisarzów odczuwa ów niepokój. Przychodzą na nich takie chwile zwątpienia, o jakich wspomniałem wyżej, a przytem lęku i goryczy, spotęgowanej niepewnością dróg nowych. Patrz na ostatnie książki Bourgetów, Rodów, Barrèsów, Desjardinsów, na poezye Rim-

bauda, Verlaina, Heredii, Malarmego, a choćby Maeterlincka i jego szkoły. Co w nich jest? Poszukiwanie nowej treści i nowych form, gorączkowe poszukiwane jakiegoś wyjścia, niepewność, dokąd się zwrócić i gdzie szukać ratunku, czy w mistycyzmie, czy w wierze, czy w obowiązkach poza wiarą, czy w patryotyzmie, czy w ludzkości? Przedewszystkiem jednak widać w nich niepokój ogromny. Wyjścia nie znajdują, bo do tego potrzeba dwóch rzeczy: wielkiej idei i wielkiego talentu, a oni nie mają ni idei, ni potężnego talentu. Stąd niepokój wzrasta jeszcze bardziej, i ci sami, którzy występują przeciw grubijańskiemu pesymizmowi naturalistycznego kierunku, sami wpadają w pesymizm, przez co osłabia się główne znaczenie i zadanie, jakie mogłaby mieć reforma. Co bowiem pozostaje? Dziwactwo formy. I w tem dziwactwie, czy ono się nazywa symbolizmem, czy impresyonizmem, brnie się coraz głębiej i gmatwa się coraz bardziej i traci się artystyczną równowagę, zdrowy rozum, pogodę duszy, często popada się w dawniejszą zgniliznę pod względem treści, a prawie zawsze w rozbrat z samym sobą, ma się bowiem i słuszne i cne poczucie, że trzeba dać światu coś nowego, a nie wie się co.

Taka jest chwila obecna.

Mniejsza z tem, że każdy złodziej grosza publicznego, czy prywatnego, lub każdy morderca, może się powołać na jakąś neurasteniczną babkę. Sądy, mimo cyklu Rougon-Macquartów, umieszczą ich za kratą. Zło leży nie w poszczególnych wypadkach, ale w tem, że w dusze ludzkie spływa niesłychany pesymizm i pognębienie, że zatraca się w nich urok życia, nadzieja, energia, ochota do życia, a zatem i do wszelkich wysiłków w kierunku dobra. A quoi bon? Oto pytanie, które nastręcza się samo przez się. Książka to przecie także czynnik, urabiający duszę ludzką. Gdybyż przynajmniej czytelnik znalazł w książkach Zoli złe i dobre strony życia w równoważnym stosunku, gdyby przynajmniej w takim, w jakim one znajdują się w rzeczywistości! Próżna nadzieja. Trzeba się wysoko wspinać, by dostać barw od zorzy lub tęczy, a ślinę każdy ma w ustach, i malować nią łatwiej. Ten naturalista lubi więcej od innych tanie efekta: woli zaduch niż zapach, zgniliznę niż żywą krew, próchno niż zdrową miazgę, nawóz niż kwiaty, la bête humaine niż l'âme humaine!

Gdybyśmy mogli sprowadzić jakiego mieszkańca

Marsa lub Wenus i kazać mu wnioskować o życiu na ziemi z powieści Zoli, powiedziałby niewątpliwie: „Życie to bywa czasem trochę czystem, jako *„le rêve,"* ale w ogóle jest to rzecz mocno niepachnąca, często obślizgła, najczęściej straszna." I gdyby nawet te teorye, na których wspiera się Zola, były, jak nie są, uznanemi prawdami, co za brak miłosierdzia przedstawiać tak życie ludziom, którzy jednak muszą żyć! Czy w tym celu, by je stoczyć, zbrzydzić, splugawić, zatruć każdą czynność, sparaliżować wszelką energię, odjąć ochotę do wszelkiego myślenia? Wobec tego, doprawdy, ma mu się za złe nawet talent. Lepiej dla niego, lepiej dla Francyi byłoby, żeby go nie miał. I czasem dziw bierze, że go nie ogarnia bojaźń, iż gdy niepokój chwyta tych nawet, którzy nie hetmanili rozkładowi, on jeden z tak spokojnem czołem kończy swoich Rougon-Macquartów, jak gdyby zdolność życiową Francuzów potęgował, nie zaś łamał. Jakim sposobem nie przychodzi mu do głowy, że ludzie, którzy chowali się na tym zepsutym chlebie i na tej zgniłej wodzie, nietylko nie oprą się burzy, ale nawet nie będą mieli do tego ochoty? Musset w swoim czasie napisał słynny wiersz: „Myśmy już mieli wasz Ren

niemiecki"— Zola tak wychowuje swoje społeczeństwo, że gdyby wszystko, co szczepi, naprawdę się wszczepiło, drugi wiersz pieśni Musseta mógłby brzmieć tak: „Lecz dziś oddamy wam nawet Sekwanę." A przecie tak źle jeszcze nie jest!

„La Débâcle" jest, mimo swych usterek, znakomitą książką, ale żołnierze, którzy ją czytać będą, ustąpią tym, którzy nocami śpiewają psalm: „Chrystus zmartwychwstał!" Gdybym był Francuzem, uważałbym talent Zoli za narodowe nieszczęście i cieszyłbym się, że jego czas mija, że nawet najbliżsi uczniowie opuszczają mistrza i że coraz bardziej zostaje sam.

Czy przytem zostanie w pamięci ludzkiej, w literaturze, czy sława jego nie minie—przesądzać trudno, wątpić wolno. W cyklu Rougon-Macquartów są tomy istotnie potężne, jak „Germinal" lub „La Débâcle." Lecz w ogóle to, co wrodzony talent Zoli uczynił dla jego nieśmiertelności, to popsuło jego lubowanie się w brudnym realizmie i jego język wprost plugawy. Literatura nie może posługiwać się takiemi wyrażeniami, jakich wstydzą się między sobą nawet prostacy. Prawda realna, o ile chodzi o ludzi występnych, upadłych, o nędzarzy, da się

osiągnąć innym sposobem, przez prawdopodobne oddanie ich stanów duszy, myśli, czynów, wreszcie przez tok ich mowy, ale nie przez cytowanie dosłowne ich przekleństw i najwstrętniejszych słów. Tak w doborze obrazów, jak w doborze wyrażeń, istnieje pewna miara, wskazywana przez rozsądek i dobry smak. Zola ją przebrał do takiego stopnia („La Terre"), do jakiego nikt dotychczas nie śmiał się posunąć. Potworne płody dlatego, że są potworne, skazane są na śmierć. Książka, która budzi obrzydzenie, musi być zrzuconą. To także leży w naturze rzeczy. Z dawnych utworów powszechnej literatury przeżyły zapomnienie płody grube, przeznaczone do budzenia śmiechu (Arystofanes, Rabelais etc.), lub rzeczy swawolne, ale pisane wykwintnie (Boccacio), nie przeżyła ani jedna, obliczona na pobudzenie mdłości. Zola, dla rozgłosu, jaki powstawał z powodu jego książek, dla skandalu, jaki wywoływał każdy pojedyńczy tom, zabijał swoją przyszłość. Zdarzyła się też wskutek tego dziwna rzecz, że on, człowiek piszący wedle ułożonego planu, piszący z rozmysłem, zimny i panujący, jak mało kto, nad przedmiotem, tworzył rzeczy najlepsze tylko wówczas, gdy miał jak najmniej sposobności do prze-

prowadzenia swoich planów, doktryn, sposobów, słowem wówczas, gdy jak najmniej panował nad przedmiotem, a jak najwięcej przedmiot nad nim.

Tak zdarzyło się w „Germinalu“ i „La Débâcle.“ Ogrom socyalizmu i ogrom wojny zgniotły poprostu Zolę z całym jego aparatem umysłowym. Jego doktryny zmalały wobec takich rozmiarów i zaledwie je słychać w szumie powodzi, zalewającej kopalnię i przy huku dział pruskich. Został tylko talent. To też i w tej i w tamtej powieści są prawdziwe dantejskie karty. Z „Doktorem Pascalem“ stało się coś przeciwnego. Jako ostatni tom cyklu, musiał on być ostatecznym wnioskiem, wyprowadzonym z całego dzieła, syntezą doktryny, wieżycą kończącą gmach. Z tego powodu więcej się w nim mówi o doktrynie, niż w którymkolwiek z poprzednich tomów, że zaś doktryna jest zła, licha, fałszywa i marna, przeto i „Docteur Pascal“ jest najlichszą i najnudniejszą książką z całego cyklu Rougon-Macquartów. Szereg kart pustych, jałowych, na których nuda bierze się za ręce z brakiem zmysłu moralnego, bladość obrazów z fałszem — oto „Le docteur Pascal.“ Zola chce go mieć porządnym człowiekiem. Jest to wyrodek z Rougon-Macqua-

tów. W dziedziczności trafiają się takie szczęśliwe wyrodzenia — doktor wie o tem, sam uważa się za błogi wyjątek, i jest to dla niego źródłem nieustającej wewnętrznej pociechy. Tymczasem kocha ludzi, służy im i zastrzykuje ich wynalezionym przez siebie płynem, który jest walnym środkiem na wszelkie dolegliwości. Jest to słodki mędrzec, który bada życie, więc zbiera „dokumenta ludzkie," buduje mozolnie drzewo genealogiczne rodziny Rougon-Macquartów, których sam jest potomkiem, i na mocy swych obserwacyi, dochodzi do takich samych wniosków, jak Zola. Do jakich? Trudno na to odpowiedzieć; oto mniej więcej, że jak kto nie jest zdrów, to zwykle bywa chory, i że dziedziczność istnieje, ale że matki lub ojcowie, pochodzący z innych rodzin, mogą wnosić do krwi dzieci nowe pierwiastki, tak, że dziedziczność może być modyfikowaną do takiego stopnia, iż ściśle biorąc, nie istnieje.

Doktor Pascal jest przytem pozytywistą. Nie chce nic przesądzać, ale twierdzi, że dzisiejszy stan wiedzy nie pozwala na wyprowadzanie dalszych wniosków nad te, które na mocy obserwacyi faktów znanych wyprowadzić się dadzą, więc też tych należy się trzymać, reszty zaniechać. Pod tym

względem przesądy jego nie mówią nam nic nowszego od artykułów dziennikarskich, pisanych przez młodych pozytywistów. Dla ludzi, którzy się rwą, dla tych potrzeb duchowych, tak silnych, jak głód i pragnienie, z mocy których człowiek odczuł takie pojęcia, jak Bóg, wiara, nieśmiertelność, doktor ma tylko uśmiech politowania. I możnaby mu się nieco dziwić. Rozumiałoby się go lepiej, gdyby nie uznawał możności rozwiązania różnych oderwanych pytań, ale on twierdzi, że i potrzeba nie istnieje — przez co grzeszy przeciw oczywistości, bo oto potrzeba taka istnieje, nie dalej, niż pod jego własnym dachem, w osobie jego siostrzenicy. Ta młoda osoba, wychowana w jego zasadach, traci nagle grunt pod nogami. W duszy jej rodzi się więcej pytań, niż tyle, na ile doktor może odpowiedzieć. I z tą chwilą poczyna się dramat dla nich obojga.

— Ja na tem nie mogę poprzestać — woła siostrzenica — ja się dławię, ja muszę coś wiedzieć, czegoś być pewną, a jeśli twoja nauka nie może tej mojej nieprzepartej potrzeby zaspokoić, tedy idę tam, gdzie mnie nietylko uspokoją, nietylko wszystko wytłómaczą, ale uczynią szczęśliwą — idę do kościoła!

I idzie. Drogi mistrza i uczennicy rozchodzą się coraz bardziej. Uczennica dochodzi do przekonania, że ta nauka, która jest tylko pętlą na szyję ludzką, jest wprost złą, i że zasługą przed Bogiem byłoby spalić te szpargały, w których doktor zapisuje swoje spostrzeżenia. I dramat spiętrza się, bo mimo sześćdziesięciu lat doktora, a dwudziestu kilku Klotyldy, tych dwoje ludzi kocha się, nietylko tak, jak kochają się krewni, ale jak mężczyzna i kobieta. Ta miłość dodaje goryczy walce i przyśpiesza katastrofę.

Wśród tych szukających po omacku, błądzących i niespokojnych, jeden przedewszystkiem pozostał spokojny, pewien siebie i własnej doktryny, niewzruszony i niemal pogodny w swoim pesymizmie, to Emil Zola. Talent wielki, siła powolna, ale wielka i cierpliwa, objektywizm, jeśli mowa o uczuciu, zadziwiający, bo równy zupełnej prawie obojętności, dar widzenia zbiorowej duszy ludzkiej i rzeczowej tak wyjątkowy, że zbliżający tego naturalistycznego pisarza do mistyków,—czynią z niego postać niepowszednią i bardzo oryginalną. Nie zawsze twarz fizyczna człowieka odbija jego duchowną osobistość. W Zoli związek ten występuje nader wybitnie. Twarz kwadratowa, czoło nizkie i pokryte zmarszcz-

kami, rysy grube, wysokie ramiona i krótki kark, dają jego postaci coś grubijańskiego. Z twarzy tej i ze zmarszczek koło oczu odgadniesz, że to jest człowiek, który dużo wytrzyma, wiele potrafi udźwignąć, uparty i wytrwały aż do zaciętości, nietylko w zamiarach i w ich urzeczywistnianiu, ale, co główna, i w myśleniu. Bystrości niemasz w nim. Na pierwszy rzut oka widać, że to jest zamknięty w sobie doktryner, który, jako doktryner, nie ogarnia szerokich widnokręgów, widzi wszystko pod pewnym kątem i ciasno, ale widzi wyraźnie. Umysł jego, jak ślepa latarka, rzuca wązkie światło w jednym tylko kierunku, i idzie w tymże kierunku z niezachwianą pewnością. I oto zarazem objaśnia się historya tego całego szeregu książek, które noszą ogólny tytuł: „Les Rougon-Macquart.“ Zola postanowił napisać historyę danego rodu za czasów Cesarstwa, na tle warunków, jakie ono wytworzyło, z uwzględnieniem prawa dziedziczności. Chodziło nawet o coś więcej, niż uwzględnienie, albowiem owa dziedziczność miała stanowić fizyologiczną podstawę dzieła.

Istnieje tu pewna sprzeczność w założeniu. Rougon-Macquartowie, biorąc historycznie, mieli być

obrazem francuskiego społeczeństwa z ostatnich czasów i jego normalnych objawów życia, zatem sami winni byli być rodziną mniej więcej normalną. Ale w takim razie: co robić z dziedzicznością? Zapewne, że rodziny normalne są takiemi również na mocy praw dziedziczności — wykazać jej jednak w tych warunkach niepodobna, można zaś to uczynić tylko na zboczeniach od normalnego typu. Więc też istotnie Rougonowie są rodziną chorą. Są to dzieci newrozy. Popadła w nią pierwotna matka rodu, i odtąd potomkowie rodzili się już z jej piętnem na czole. Tak chce autor, i trzeba się na to zgodzić. Jakim jednak sposobem historya rodziny, wyjątkowo dotkniętej zboczeniami umysłowemi, może być jednocześnie obrazem francuskiego społeczeństwa, tego nam autor nie tłómaczy. Gdyby odpowiedział, że za Cesarstwa całe społeczeństwo było chore, byłby to wykręt. Społeczeństwo może iść zgubną drogą polityczną lub obyczajową, jak to czyniło nasze w XVIII wieku, i być jako ogół chorem, ale składać się z osobników i rodzin zdrowych. To są dwie rzeczy różne. Jedno więc z dwojga: albo Rougonowie są chorzy, a wówczas cykl powieści o nich nie jest obrazem Francyi za Cesarstwa,

tylko studyum psychologicznem, albo cała podstawa fizyologiczna, cała owa dziedziczność, na której cykl jest oparty, słowem, cała doktryna Zoli,—jest nonsonsem. Nie wiem, czy kto zwracał kiedy uwagę Zoli na to: aut, aut! To pewna, że on sam nie zwrócił jej nigdy. Prawdopodobnie przytem nie miałoby to na niego żadnego wpływu, tak, jak nie miały krytyki jego teoryi dziedziczności. I beletryści i fizyologowie występowali przeciw niej nieraz z całym zasobem nieprzepartych dowodów. Nic nie pomogło. Próżno twierdzono, że teorya dziedziczności w ścisłej nauce nie jest zbadaną, dowiedzioną, i, co przedewszystkiem: do uchwycenia i wykazania na drodze faktów dotychczas niepodobną; próżno dowodzono, że fizyologia nie może być fantastyczną, a jej prawa nie mogą zależeć od dowolnych pomysłów autorskich, — Zola słuchał, pisał dalej i w końcowym tomie dzieła dodał drzewo genealogiczne rodziny Rougon-Macquartów, tak spokojnie, jakby nikt nigdy jego teoryi nie podawał w wątpliwość.

Ostatecznie, to drzewo ma jedną dobrą stronę. Jest tak pretensyonalne, że aż śmieszne, i odejmuje teoryi tę resztkę powagi, jakąby ona dla mniej sa-

modzielnych umysłów mieć mogła. Dowiadujemy się z niego, że z chorej nerwowo, a przytem łatwej w stosunkach prababki wyrasta chory ród. Lecz ktoby sądził, że jej newroza odbija się w potomkach, tak, jak to bywa w zakresie fizycznym, w pewien jednolity sposób, w jakiejś przeważnej do czegoś skłonności, lub namiętności, tenby się mylił. Przeciwnie: cudowne drzewo rodzi najróżnorodniejsze owoce. Są na niem różowe jabłka, grusze, śliwki, daktyle, niespliki i co kto chce. A wszystko z powodu babcinej newrozy! Czy tak bywa w naturze? Nie wiemy. Sam Zola nie ma na to innych danych, prócz jakoby wycinków z gazet, opisujących różne zbrodnie, które przechowuje starannie, jako „dokumenta ludzkie," i którymi manewruje według własnej fantazyi. I to mu wolno; niech tylko nie sprzedaje nam tej fantazyi, jako odwiecznego i niezmiennego prawa natury. Babka miała newrozę, jej najbliżsi przyjaciele mieli zwyczaj szukać, nie w apteće, lekarstwa na frasunek, więc męscy i żeńscy potomkowie babki są tem, czem *muszą* być — mianowicie: zbrodniarzami, złodziejami, ulicznicami, porządnymi ludźmi, świętymi, politykami, dobremi matkami, stręczycielkami, bankierami, rolni-

kami, mordercami, księżmi, żołnierzami, ministrami, słowem wszystkiem, czem w zakresie umysłu, w zakresie zdrowia, w zakresie majątku i położenia, w zakresie zawodu, mogą być i bywają tak mężczyźni, jak kobiety na całym świecie. I mimowoli ogarnia osłupienie. Więc co? Więc to wszystko przez babciną newrozę? Tak! — odpowiada autor. Ale, gdyby Adelajda Fouque jej nie miała, przecie potomstwo jej także musiałoby być złem lub dobrem i zajmować się tem, czem zwykle zajmują się na świecie mężczyźni lub kobiety? — Zapewne! — odpowiada Zola—ale Adelajda Fouque miała newrozę. I dalsza rozprawa staje się wprost niepodobną, ma się bowiem do czynienia z człowiekiem, który własną dowolną fantazyę bierze za prawo natury i którego umysłu zwyczajny klucz, jakiego dostarcza logika, nie otwiera. Oto zbudował sobie drzewo genealogiczne; to drzewo mogło być inne—ale gdyby było inne, onby utrzymywał, że jedynie może być takiem, jak jest — i łatwiej byłoby go zabić niż przekonać, że jego teorya nic nie warta.

Zresztą, jest to teorya tego rodzaju, że właściwie niema o co się kłócić. Dawno już powiedziano: u Zoli jest jedna rzecz dobra—jego talent, i jedna

zła—jego doktryna. Jeśli skutkiem odziedziczonej po jednym i tym samym przodku newrozy, można być tak dobrze łotrem, jak porządnym człowiekiem, tak dobrze Naną, jak Siostrą miłosierdzia, tak dobrze zwierzęciem, jak mędrcem, tak dobrze parobkiem, jak Achillesem — to w takim razie — „jest tam taki mostek, co go niema“ —jest to taka dziedziczność, której niema. Człowiek może być tem, czem sam chce. Pole dla dobrej woli i odpowiedzialności zupełnie otwarte, i te wszystkie moralne podstawy, na których wspiera się życie ludzkie, wychodzą bez szwanku z opałów. Autorowi możnaby powiedzieć, że jest to: „to much ado about nothing,“ i skończyć z nim, jako z doktrynerem, a liczyć się tylko, jako z talentem. Lecz jemu o co innego chodzi. Jakkolwiek luźną i poprostu żadną jest jego doktryna, on wyprowadza z niej inne wnioski. Cały cykl jego książek mówi wyraźnie i niedwuznacznie: „Czemkolwiek jesteś, świętym czy zbrodniarzem, jesteś nim z mocy prawa dziedziczności—jesteś takim, jak być musisz, i w żadnym razie niema ani twojej winy, ani twojej zasługi.“ Ach, oto kwestya odpowiedzialności! Ani tu pora, ani miejsce jej poruszać. Filozofia nie znalazła dowodu na to, że

człowiek istnieje, a gdy kartezyańskie: „cogito ergo sum“ nie okazało się wystarczającem — pytanie jest dotychczas otwarte. Tak samo z odpowiedzialnością. Niechby całe wieki filozofii twierdziły tak lub inaczej, człowiek ma przeświadczenie wewnętrzne, że istnieje — i niemniej mocne przeświadczenie, że jest odpowiedzialny, i całe jego życie, bez względu na jego teorye, jest na takiem przeświadczeniu oparte. Zresztą i ścisła nauka kwestyi woli i odpowiedzialności nie rozstrzygnęła. Przeciw powagom można zacytować powagi, przeciw opiniom opinie, przeciw wywodom wywody. Dla Zoli jednak jest to kwestya rozstrzygnięta. Odpowiedzialności niema, jest tylko jakaś babka Adelajda lub dziadek Jacques, od których wszystko zależy. I odtąd zaczyna się, podług mnie, zgubny wpływ tego pisarza, gdyż on nietylko nieprzesądzone pytania przesądza, ale je popularyzuje, wszczepia i ułatwia rozkład.

Pewnej nocy doktor chwyta siostrzenicę na zbrodni. Oto dobrała się do jego szafy, powyciągała szpargały i gotuje się je spalić. Wtedy poczynają się bić. Piękny obraz! On w bieliźnie, ona w gieźle nocnem, i ciągają się za czupryny, szarpią się,

drapią. On jest mocniejszy, a ona, jakkolwiek wyłomotał ją i pokrwawił, odczuwa pewną przyjemjemność w tem doświadczeniu na własnej dziewiczej skórze siły męskiej. I w tem jest cały Zola. Ale słuchajmy, bo chwila stanowcza zbliża się. Sam doktor, wysapawszy się nieco, zapowiada ją uroczyście. Czytelnika zdejmuje dreszcz. Czy doktor siłą swego geniuszu rozedrze nocne niebo i pokaże jej pustkę nad gwiazdami, czy siłą wymowy zwali w proch jej kościół, jej wierzenia, jej porywy, jej nadzieje? Mimowoli przychodzi na myśl wiersz:

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

W ciszy odzywa się nizki głos doktora:

— Nie chciałem ci tego pokazywać, ale tak dłużej żyć nie można, więc czas nadszedł. Podaj mi drzewo genealogiczne rodziny Rougon-Macquartów.

Co? Co?

Tak jest! Drzewo genealogiczne rodziny Rougon-Macquartów! W ciszy zaczyna się czytanie: Była sobie Adelajda Fouque, która miała męża Rougona, a przyjaciela Macquarta. Z Rougona urodził się Eugeniusz Rougon, takoż Pascal Rougon.

takoż Arystydes, takoż Sydonia, takoż Marta. A z Arystydesa urodził się Maksym, takoż Klotylda, takoż Wiktor, a z Maksyma urodził się Karol i na tem koniec; lecz Sydonia miała córkę Anielę, a Marta, która poszła za Moureta, który pochodził z Macquartów, miała troje dzieci i t. d.

Noc przechodzi, blednie, a czytanie trwa. Po Rougonach przychodzą Macquartowie — później potomstwo obu połączonych rodów. Idzie imię za imieniem, nazwisko za nazwiskiem. Występują źli, występują dobrzy, występują obojętni, występują wszelkie stany, od ministrów, bankierów, wielkich kupców, aż do prostych żołnierzy, albo drapichrostów bez zajęcia — wreszcie doktor przestaje czytać — i spojrzawszy swemi oczyma mędrca na siostrzenicę, pyta:

— No, i cóż teraz?

A piękna Klotylda rzuca się w jego objęcia:

— Vicisti! vicisti!

I jej Bóg, jej wiara, jej kościół, jej porywy ku ideałom, jej potrzeby ducha, rozsypują się w proch.

Dlaczego? Na mocy jakiego ostatecznego wniosku? dla jakiej dobrej racyi? Co ją mogło w tem drzewie przekonać, co wywrzeć jakiekolwiek inne

wrażenie, prócz wrażenia nudy? Dlaczego z ust jej nie wyszło pytanie, które narzuca się nieprzeparcie czytelnikowi: „A więc cóż z tego?“ — Niewiadomo. Nie zdarzyło mi się nigdy zauważyć, by jakikolwiek autor, z przyczyny tak błahej i tak ubocznej, wyprowadzał tak wielkie i bezpośrednie skutki. Jest to coś tak zdumiewającego, jak gdyby Zola kazał rozpaść się w proch wierze i zasadom Klotyldy, na skutek przeczytania jej przez doktora kalendarza, przewodnika kolejowego, listy potraw, lub katalogu jakiegoś muzeum. Dowolność przechodzi tu wszelkie granice i staje się wprost niezrozumiałą. Czytelnik pyta się, czy autor łudzi sam siebie, czy też chce zasypać piaskiem oczy publiczności? I ten punkt kulminacyjny powieści jest zarazem upadkiem i jej i całej doktryny. Klotylda winna była odpowiedzieć, co następuje:

„Twoja teorya nie stoi w żadnym związku z moją wiarą w Boga i Kościoł. Twoja dziedziczność jest tak *luźną* i na mocy jej tak dalece można być *wszystkiem*, że ona sama staje się *niczem* — a więc i wszystkie dalsze wnioski, które z niej wyprowadzasz, również oparte są na niczem. Nana, według ciebie, jest ulicznicą, a Aniela świętą; ksiądz Mouret jest

ascetą, Jaques Lautier mordercą, a wszystko z powodu babki Adelajdy? A ja ci powiadam z większem realnem prawdopodobieństwem, że dobrzy są dobrymi dlatego, że mają moją wiarę, że wierzą w odpowiedzialność i nieśmiertelność duszy, a źli są złymi dlatego, że w nic nie wierzą. Czem mi dowiedziesz, że przyczyną zła i dobra jest Adelajda Fouque? Chyba zaręczysz słowem; chyba powtórzysz, że tak jest, bo jest; ja zaś mogę ci powiedzieć, że wiara i poczucie odpowiedzialności były od wieków hamulcem złego, i temu, jeśli choć trochę liczysz się jako pozytywista z rzeczywistością, zaprzeczyć nie potrafisz. Jednem słowem, ja mam dowody objektywne, ty tylko swoje osobiste „widzi mi się;" jeśli zaś tak jest, to zostaw mi moją wiarę, a swoje fantastyczne drzewo sam wrzuć do pieca."

Lecz Klotylda nie odpowiada nic podobnego. Przeciwnie, ona odrazu spożywa jabłko z tego marnego drzewa — i przechodzi z duszą i ciałem do obozu doktora, a czyni to jedynie i wyłącznie dlatego, że się Zoli tak podoba. Innej przyczyny niema i być nie mogło.

Gdyby przeszła z miłości dla doktora, gdyby ten powód, który w kobiecie może odegrać tak wielką

rolę, istotnie ją odegrał, byłoby to jeszcze zrozumiałem. Ale nie! Bo w takim razie, cóżby się stało z całą doktryną Zoli? To ona jedynie wpływa na Klotyldę, to jej stronę rozumową chce mieć autor tak nieprzepartą. I dzieje się tak, jak on chce, ale już poprostu kosztem logiki i zdrowych zmysłów. Od tej pory wszystko będzie wolno; będzie wolno wmawiać w czytelnika, że niekochany mężczyzna rozkochał w sobie kobietę za pomocą pokazania jej cennika masła lub świec stearynowych. Do tego prawdziwy i wielki talent doprowadzany bywa przez doktrynerstwo.

Doprowadza ono również do zupełnego zaniku zmysłu moralnego. Ta dziedziczność to jest ściana, w której można wybić tyle okien, ile się podoba. Doktor jest takiem oknem. Uważa on się za wyrodka z pod familijnej newrozy, to jest za człowieka normalnego, więc, jako taki, pragnąłby przekazać swoje zdrowie potomstwu. Klotylda jest również zdania, że nie byłoby to od rzeczy, że zaś łączy ich miłość, zatem się biorą. Biorą się oczywiście tak, jak brali się ludzie w czasach jaskiniowych. Zola uważa to za zupełnie naturalne, doktor Pascal także, a że Klotylda przeszła zupełnie do

jego obozu, więc nie protestuje i ona. To już wydaje się nieco dziwniejsze. Klotylda tak niedawno była przecie religijną! Młodość i niedoświadczenie nie tłómaczy jej również.

Ośmioletnie nawet dziewczyny mają instynktowe niejako poczucie wstydu. Dwudziestokilkoletnia panna wie już zawsze co czyni i ofiarą być nie może, jeśli zaś bierze z uczuciem wstydu rozbrat, to albo przez temperament, albo przez miłość, która uniesienia uszlachetnia, bo czyni je aktem przynależności i obowiązkiem, ale też i sama pragnie być obowiązkiem uprawnionym. Jeśli nawet kobieta jest istotą niereligijną i wyrzeka się uświęcenia miłości przez religię, może jeszcze żądać, by jej uczucie zostało uprawnione wobec ludzi. Ksiądz, albo „monsieur le maire." Klotylda, która kocha przecie doktora Pascala, niczego nie żąda. Ślub, dany przez mera, wydaje jej się rzeczą podrzędną. I tu znów wprost niemożna jej zrozumieć, prawdziwej miłości bowiem powinno o to chodzić, by węzeł był wzmocniony i utrwalony. Inaczej dzieje się to, co rzeczywiście dzieje się w tej powieści, że pierwsze rozłączenie się jest końcem stosunku. Gdyby byli wzięli ślub chociaż przed merem, pozostali-

by i w rozłączeniu mężem i żoną, nie przestaliby do siebie należeć; — ponieważ nie wzięli, więc z chwilą jej odjazdu, on staje się sobie nieżonatym, jak dawniej, doktorem Pascalem, ona — uwiedzioną panną Klotyldą. Jeszcze za czasów ich wspólnego pożycia wynikają z tego tysiące przykrości i chwil istotnie dla obojga rozdzierających. Razu pewnego np., Klotylda wpada, cała we łzach i płomieniach, a gdy przerażony doktor pyta, co jej się stało, odpowiada:

— Ach, te kobiety! Idąc cieniem, zamknęłam parasolkę i miałam nieszczęście potrącić jakieś dziecko. Wówczas wszystkie napadły na mnie i poczęły wykrzykiwać takie rzeczy!... och, jakie!... że nigdy nie będę miała dzieci, że to nie dla takich ścierek, jak ja!... i inne jeszcze, których powtórzyć nie mogę, nie chcę, których nawet nie zrozumiałam...

Pierś jej podnosiła się łkaniem, on pobladł i chwyciwszy ją w ramiona, począł okrywać jej twarz pocałunkami, przyczem mówił:

— To moja wina, ty przeze mnie cierpisz! Słuchaj, pojedziemy gdzieś daleko, gdzie nikt nie bę-

dzie cię znał, gdzie każdy cię powita i gdzie będziesz szczęśliwa.

Jedno tylko nie przychodzi obojgu do głowy: żeby się pobrać. Gdy matka Pascala mówi im o tem, mają uszy kamienne. Jej nie dyktuje tego sposobu wstyd kobiecy, jemu troskliwość o nią i chęć osłonienia jej od zniewag. Dlaczego? Dla niczem nieusprawiedliwionej przyczyny. Dlatego, że się Zoli tak podoba.

Ale może mu chodzi o to, by wykazać, jakie tragiczne skutki rodzą się ze związków nieuprawnionych? Bynajmniej. On całkowicie jest po stronie doktora i Klotyldy. Gdyby wzięli ślub przed merem, nie byłoby dramatu, a autor chce go mieć. Oto powód.

Później następuje bankructwo doktora. Trzeba się rozłączyć. To rozłączenie staje się nieszczęściem ich życia; doktor ma umrzeć od tego ciosu. Oboje czują, że to będzie koniec, oboje go nie chcą — i oboje ani pomyślą o jednym sposobie, któryby raz na zawsze stwierdził ich wzajemną przynależność i rozłączenie zmienił tylko w odjazd, nie w wieczyste rozerwanie: i nie biorą ślubu.

Byli ludźmi bez religii, więc nie chcieli księdza; to się rozumie. Ale dlaczego nie chcieli mera? Pytanie zostaje bez odpowiedzi.

Tu już obok braku zmysłu moralnego jest coś więcej, bo i brak prostego sensu. Powieść jest nietylko niemoralną, ale jest zarazem lichą budą, kleconą z desek nietrzymających się jedna drugiej, nie wytrzymującą najlżejszego zetknięcia się z logiką i zdrowym rozsądkiem. W tem trzęsawisku nonsensów utonął nawet talent.

Jedna rzecz zostaje: trucizna płynie po staremu w duszę czytelników, umysły oswajają się ze złem i przestają się niem oburzać. Trucizna sączy się, rozkłada prostotę duszy, wrażliwość moralną i ów zmysł sumienia, który odróżnia dobre od złego.

Doktor, z żalu po Klotyldzie, dostaje sklerozy i umiera. Ona wraca pod dawny dach i zajmuje się wychowaniem dziecka. Nic z tego, co wszczepił doktor w jej duszę, nie zmarniało i nie zwiędło. Owszem, wyrosło silniej jeszcze. On kochał życie, kocha je teraz i ona, zgadza się na nie zupełnie nie przez rezygnacyę, ale dlatego, że je uznaje — i im więcej nad niem rozmyśla, kołysząc na kolanach

dziecko bez nazwiska, tem uznaje je bardziej. Na tem kończy się cykl Rougon-Macquartów.

Lecz ten koniec jest nową niespodzianką. Oto leży przed nami dziewiętnaście tomów, a w nich, jak mówi sam Zola, „tant de boue, tant de larmes... C'était à se demander si, d'un coup de foudre, il n'aurait par mieux valu balayer cette fourmilière gatée et miserable...“ I prawda! Ktokolwiek owe tomy przeczyta, ten nie może dojść do innego wniosku, tylko, że życie jest rozpaczliwym i ślepym mechanicznym procesem, w którym na większą niedolę ludzką trzeba brać udział, bo uniknąć go niepodobna. Błoto przeważa w nim nad zieloną murawą, zgnilizna nad czerstwością, trupi zapach nad wonią kwiatów, choroba, obłąkanie i zbrodnia—nad zdrowiem i cnotą. To Gehenna nietylko straszna, ale i obrzydła. Włosy wstają na głowie, a jednocześnie ślina napływa do ust i rzeczywiście narzuca się pytanie: czyby nie lepiej było, gdyby piorun zmiótł „cette fourmilière gatée et miserable?“

Innego wniosku być nie może, inny byłby wprost szalonem zboczeniem umysłowem, prostem złamaniem praw rozumu i logiki. A teraz, czy wiecie,

jak się naprawdę kończy cykl tych powieści? Oto hymnem na cześć życia.

Tu już opadają ręce. Próżna robota wykazywać znowu, że autor dochodzi do czegoś wprost przeciwnego temu, co powinno było wypaść z jego dzieła. Bóg z nim! Niech jednak się nie dziwi, że opuszczają go nawet uczniowie. Ludzie muszą myśleć wedle praw logiki. A że przytem muszą żyć, więc chcą na tę drogę otuchy. Mistrze, w rodzaju Zoli, dają im tylko rozkład, chaos, wstręt do życia i rozpacz. Ich racyonalizm nie umie wykazać nic innego, wykazywał zaś to zawsze tak skwapliwie, że przebrał miarę. Dziś zaczadzonym trzeba świeżego powietrza, wątpiącym nadziei, targanym niepokojem trochy spokoju, przeto słusznie czynią, zwracając się tam, skąd nadzieja i spokój płynie, tam, gdzie ich błogosławią krzyżem i gdzie im mówią, jak Łazarzowi: „Tolle grabatum tuum et ambula!“

I tem tłómaczy się ostatnia ewolucya, której fale poczynają się rozchodzić na wszystkie strony świata.

Podług mnie, musi przejść przez nią również poezya i powieść — więcej nawet: musi ją potęgować i przyśpieszać. Tak dalej iść poprostu niemożna! Na wyjałowionem polu porastają tylko chwa-

sty. Powieść winna krzepić życie, nie zaś podkopywać; uszlachetniać je, nie zaś plugawić; nieść dobrą „nowinę,“ nie zaś złą. Mniejsza mi o to, czy to, co mówię, podoba się komuś lub nie, sądzę bowiem, że odczuwam wielką i pilną potrzebę duszy ludzkiej, która woła o zmianę.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

	Str.
Wyrok Zeusa. Bajka grecka	1
Z wrażeń włoskich. Nervi	21
Organista z Ponikły.	39
U źródła.	55
Lux in tenebris lucet	92
Bądź błogosławiona! Legenda indyjska.	113
Pójdźmy za Nim!	121
Listy o Zoli („Le docteur Pascal“)	177

Stanford University Libraries
3 6105 124 433 017

PG
7158
S4
1883
V.20

Stanford University Libraries
Stanford, California
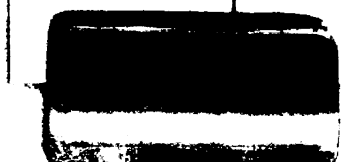
Return this book on or before date due.